

Krystyn Ziemski



SALDO MORTALE



Krystyn Ziemski



SALDO MORTALE



Krystyn Ziemski

Saldo mortale

Część pierwsza

STRACH

ROZDZIAŁ I

Źle spał tej nocy. Nękały go, jak nigdy, jakieś koszmary. Najpierw śnił mu się pożar domu, w którym mieszkał. Widział ogniste języki wdzierające się do jego kawalerki. Czuł, że się dusi.

Ocknął się zlany zimnym potem. Ledwie znów zasnął, zbudził się, bo mu się zdawało, że dzwoni telefon. Machinalnie sięgnął po słuchawkę. Nic tylko długi sygnał, znak, że ów dzwonek należał do kategorii sennych przywidzeń. Spojrzał na zegarek. Czwarta.

Pora, o której zazwyczaj spał jak suseł. Konieczność wstania o pół do siódmej, zwłaszcza teraz jesienią lub zimą, uważał za dopust boży. Nawet na urlopiach nigdy nie miewał ciągot do oglądania widoku wschodzącego słońca. - Wystarczy mi obejrzenie zdjęć wschodów słońca w kolorowym telewizorze - mawiał, gdy nawet niezwykle atrakcyjne wczesowiczki zachwalały uroki świtu. Nieraz zdarzało mu się pracować do rana, ale wówczas bywał tak zmęczony, że jedyne co go pociągało, to mocny sen na własnym tapczanie.

Minęła czwarta, a on nie może zasnąć. Czuje jakiś niepokój.

Pewnie ten wczorajszy pogrzeb tak na mnie podziałał, usiłuje znaleźć wyjaśnienie tego niecodziennego stanu.

Wczoraj na Powązkach chowano profesora Adama Żmudzińskiego, człowieka, z którym on, Bieżan, od dawna się przyjaźnił. Nienawidził pogrzebów. Starał się ich unikać, ale w tym wypadku... Wdowa po profesorze Żmudzińskim nie miała nikogo bliskiego, kto by jej pomógł, towarzyszył w tych najtrudniejszych chwilach. Poszedł więc.

Ludzi, zgodnie z jego przewidywaniami, nie było zbyt wiele. Z oficjeli, zaledwie parę osób wydelegowanych przez Polskie Towarzystwo Cybernetyczne, którego członkiem był

zmarły. A znany był przecież niemal na całym świecie. I towarzystwu przynosił chlubę. Na jego wykłady za granicą ściągali tłumy.

Jego teorie bulwersowały zagraniczne środowiska cybernetyków i przyniosły mu sławę. Ale w kraju jakoś nie mógł doczekać się uznania. Zawistnych, Bieżan dobrze o tym wiedział, w środowiskach naukowych nigdy nie brakowało. Tych zawistnych miał

Żmudziński niemało. Podobnie jak oponentów. A wszystko dlatego, że głoszone przez niego teorie oznaczały przewrót w wielu dziedzinach wiedzy, wykazywały nieprzydatność dotychczasowych sposobów myślenia i ocen, a zatem zmierzch kariery licznych krajowych luminarzy. Zwolenników mógł chyba na palcach policzyć. Nie miał ich nawet w środowisku cybernetyków - zanadto ich wyprzedzał w swoich rozwiązaniach. Ceniony był najbardziej w wojskowej uczelni i w jego, Bieżana, resortowej akademii. I tu, i tam na wykłady przychodziło liczne grono słuchaczy. Jednym z nich był on sam.

Wprawdzie studia skończył wiele lat temu, ale zafascynowała go cybernetyka -

wiedza, o której podczas jego studiów nikomu się jeszcze nie śniło. Chłonał więc tę wiedzę i wykorzystywał każdą wolną chwilę na rozmowy z profesorem. Zasypywał go pytaniami. A profesor chętnie wyjaśniał wszelkie zawiłości nowej dyscypliny, niekiedy nawet prowokował

dyskusje. Cieszyło go to zainteresowanie. W miarę upływu czasu zaczął zapraszać Bieżana do domu i niemal już weszło w zwyczaj, że po wykładzie major odwoził profesora i wstępował

do niego na krótszą lub dłuższą pogawędkę. Profesor zwykł mawiać, że na nim, laiku w tej dziedzinie, sprawdza, czy jego wykłady są zrozumiałe dla nieprofesjonalistów. Mawiał także, że wątpliwości i logiczny sposób myślenia Bieżana pobudzają jego inwencję twórczą.

Zaprzyjaźnili się. Byli rówieśnikami. Obaj mieli niemało doświadczeń życiowych, wprawdzie nieco innych, zważywszy odmienną zawodową działalność i zainteresowania, ale wspólną płaszczyzną tworzyła cybernetyka, którą się pasjonowali, każdy na swój sposób.

Profesor udoskonalał swoje teorie, a Bieżan rozmyślał nad wykorzystaniem odkryć profesora w pracy kontrwywiadu.

Dyskutowali zresztą często na temat zastosowania teorii w pracach organów ścigania, w dziedzinie obronności, drążyli tematy, o które zahaczał profesor podczas swoich wykładów. Nic więc dziwnego, że na pogrzeb profesora przyszła grupa słuchaczy z Akademii Spraw Wewnętrznych, a

także z uczelni wojskowej.

Zawał, który wyrwał profesora z szeregów żyjących, dla wszystkich był

zaskoczeniem. Szczególnie mocno odczuła to jego żona. W mgnieniu oka ta pięćdziesięcioparoletnia kobieta postarzała się o kilkanaście lat. Bieżan, który często wpadał

do niej podczas choroby profesora, po jego zgonie niemal jej nie poznał.

Pani Maria zwykle spokojna, pogodna i opanowana znajdowała się w nieustającym szoku; mówiła trochę od rzeczy i nie potrafiła wykonać najprostszych czynności domowych, nie mówiąc już o załatwieniu spraw związanych z pogrzebem. W tej sytuacji on, Bieżan, wziął parę dni urlopu, żeby je pozatwierać, o dniu pogrzebu zawiadomić uczelnię, Towarzystwo Cybernetyczne i Polską Akademię Nauk. Dopilnować, żeby wszystko wypadło jak należy.

Pułkownik Ziętara, jego szef i przyjaciel, urlopu mu nie odmówił, ale uprzedził, że po załatwieniu związanych z pogrzebem spraw ma się do niego zgłosić.

- Mam dla ciebie coś ekstra - oświadczył enigmatycznie. - Może przydadzą ci się i do roboty te twoje studia cybernetyczne - dodał.

Co to za niespodzianka? Wówczas Bieżan nie zastanawiał się nad tym. Miał na głowie kłopoty związane z pogrzebem. Zetknął się ze sprawami, które powodowały, że załatwianemu je człowiekowi brzydnie życie, a włos jeży się na głowie. Sam pogrzeb zaobfitował w niespodzianki, których nie przewidział.

Przed spuszczeniem trumny grabarze zażądali dodatkowej „opłaty”, inaczej pójdą sobie. Wyłożył ładnych parę tysięcy z własnej kieszeni. Ale na tym nie koniec. Na odgłos padającej na trumnę ziemi profesorowa zemdląła. Zanieśli ją do jego wozu.

Pojechali do pogotowia, później odwiózł znekąną kobietę do domu. Siedział z nią jeszcze parę godzin, bo bała się zostać sama w trzypokojowym, opustoszałym mieszkaniu.

Później musiał pojechać na cmentarz, sprawdzić, jak grabarze wywiązali się z roboty.

Okazało się, że gdy zabrakło „pańskiego oka”, grób zostawiono w nieładzie - usypany byle jak, kwiaty rozrzucone dookoła. Musiał interweniować w biurze zarządu i osobiście przypilnować, żeby zrobili jak należy. Chciał oszczędzić wdowie nowego wstrząsu, kiedy za dzień lub dwa wybierze się na grób męża. Do domu wrócił skonany, jak po najcięższej harówce.

Cóż dziwnego, że po tym wszystkim męczą mnie koszmary, tłumaczył sobie, przewracając się z boku na bok. Nawet słoń by się wykończył. Czuje ulgę na myśl, że już jutro wraca do normalnej pracy. Ciekawe, co też za niespodziankę ma w zanadrzu Ziętara?

ROZDZIAŁ II

Przysiadła na brzeżku krzesła, cała w czerni, ciemna plama na tle jasnych sosnowych mebli. Jak gość

w cudzym domu.

Niech mi pan wybaczy, panie Jerzy - zaczęła nieśmiało - że dla swoich spraw odrywam pana od obowiązków.

W czym mogę pomóc? - Patrzy współczująco na bladą zmizerowaną twarz. - Mam nadzieję, że inwentaryzacja prac pani męża już się zaczęła. Tak jak uzgodniliśmy po pogrzebie.

Jego dorobek jest dla nauki bezcenny. Trzeba te prace spisać i zabezpieczyć.

Przygotować do wydania.

- Inwentaryzacja - powtarza jak echo. - Tak, tak. Byli w tej sprawie z Towarzystwa Cybernetycznego i PAN-u. Mają zacząć lada dzień. Ale ja nie o tym - milknie, kryjąc twarz w drżących dłoniach.

Zaraz się rozpłaczę, myśli Bieżan z przerażeniem. Boi się kobiecych łez. Jak tu ją pocieszyć po takiej stracie?! Jak uspokoić? Serdecznym ruchem gładzi ją po ramieniu.

Skutkuje.

- Jaki pan dobry - mówi Żmudzińska przez łzy. - Co ja bym bez pana zrobiła! I teraz znowu pana absorbuję. Ale ja się boję.

Bardzo się boję...

- Czy coś się stało? - pyta.

- Niby nic takiego. Ale czuję się zagrożona. Coś się wokół mnie dzieje. Od czasu choroby męża i jego śmierci w mieszkaniu jest wszystko tak, jak było. Nie mogłam zabrać się do sprzątnięcia czy porządkowania czegokolwiek. W chwili gdy męża zabierało pogotowie, w jego gabinecie, na biurku, stała otwarta maszyna do pisania, a obok leżał rękopis. Były tam jakieś wzory matematyczne. Na papierze wkręconym w maszynę, parę linii tekstu. Dwie czy trzy. Od samej góry. Obok rękopisu leżał długopis. Fotel, na którym siedział, był

odsunięty. Sam go odsunął, gdy mu się zrobiło słabo. Przeszedł jeszcze parę kroków do tapczanu. Tu upadł. Ale ja nie o tym - milknie, jakby straciła wątek.

-? Mówiła pani o swoich łakach - przypomina, od czego zaczęła rozmowę. - Nie dziwię się pani. Sama w tym dużym mieszkaniu.

- Ach, to nie to. - Niemal niedostrzegalne wzruszenie ramion. - Od chwili choroby męża i: ałe dni spędzałam przy nim. W szpitalu. Po jego śmierci, sam pan widział, byłam półprzytomna. Ale przed pogrzebem musiałam pójść do jego gabinetu. Potrzebne były jakieś dokumenty. Miał je w biurku.

Weszłam i przeżyłam wstrząs: fotel przysunięty do biurka, długopis, leżący obok rękopisu, zniknął, a sam rękopis otwarty na innej stronie.

- Jest pani tego pewna?

- Tak. Mam doskonałą pamięć wzrokową. Zrazu nie mogłam w to uwierzyć, więc przyjrzałam się dokładnie. Na leżącej na wierzchu stronie rękopisu znajdowały się inne wzory. Tekst, który mąż zaczął przepisywać na maszynie, znalazłam pod spodem. Pod moją nieobecność ktoś tu gospodarował...

- Dawała pani komuś klucze od mieszkania?

- Nie. Moje noszę ze sobą, a klucze męża odebrałam ze szpitala. Były w jego ubraniu.

Włożyłam je do szufladki w komódce.

- Są na swoim miejscu?

- Tak. Sprawdziłam. Ale na tym nie koniec. Dwa dni temu znów coś zauważyłam.

Adam był pedantem. Wszystkie jego rzeczy musiały leżeć na swoim miejscu, poukładane dokładnie, co do milimetra. A już o swoje rękopisy dbał szczególnie.

Zgromadził je na jednej z półek. Leżały w ponumerowanych teczkach. I tu zauważyłam zmianę. Jedna ze spoczywających na samym dole teczek była wysunięta, wystawała z rzędu. Rzecz nie do pomyślenia, jak się zna zwyczaje męża...

- Może szukał tam czegoś i tak zostawił.

- Niemożliwe. Ta teczka, sprawdziłam, zawierała notatki do wykładów w akademii wojskowej. Wykładów, które prowadził dość dawno. Dlatego leżała na samym spodzie. Mąż zamierzał na tej podstawie opracować książkę. Jestem pewna, że ktoś tu buszuje pod moją nieobecność. Boję się... Boję się - powtórzyła.

Bieżan milczy chwilę.

Czy przedstawiciele PAN-u i Towarzystwa Cybernetycznego nic tam nie ruszali? -

Taka hipoteza wydaje mu się najbardziej prawdopodobna.

Nie. Oni nie wchodzili do jego gabinetu. Przyjęłam ich tutaj, tak jak pana. Przyszli się przedstawić i umówić ze mną w sprawie inwentaryzacji. O terminie mają mnie powiadomić w połowie października. Zapomniałam powiedzieć panu, że ten ktoś buszował i w moim pokoju.

- Znów wróciła do nurtującej ją sprawy. - Szufladka, w której trzymam precjoza, była odsunięta.

- Czy coś zginęło?

- Nie. Tylko biżuteria była poprzekładana, jakby ktoś ją oglądał, a szufladka otwarta.

Zawsze jest zamknięta. Kluczyk noszę przy sobie. W torebce. - Otwiera torebkę, wyciąga z kosmetyczki mały kluczyk.

Wydaje się jej, czy rzeczywiście ktoś tam buszował? Tylko jakim cudem dostał się do mieszkania, skoro obie pary kluczy są w domu, zastanawia się Biczán wracając do pracy.

Konfabulacja mogła być spowodowana szokiem po śmierci męża. Szok trwał dość długo i mogła w tym czasie sama, machinalnie, przesunąć rękopis i ołówek, przystawić do biurka fotel, a nawet zapomnieć o zamknięciu szufladki. I teraz wydaje jej się, że to zrobił ktoś obcy.

Z drugiej strony rękopisy profesora, jego prace, notatki mają ogromną wartość. Mogą być cenniejsze niż złoto czy biżuteria.

Profesorowa nie zna się na cybernetyce, nie orientuje się, jakie znaczenie mają badania jej męża. Właśnie dlatego on, Biczán, namówił ją, by jak najszybciej załatwiła inwentaryzację, a tu spis prac profesora odwleka się. Niedobrze. Może te jej lęki mają jakieś uzasadnienie? Trzeba koniecznie zapewnić ochronę dorobku profesora - postanawia i wykręca numer komendanta rejonowego urzędu spraw wewnętrznych.

- Mam do ciebie prośbę - zwraca się do kolegi. - Chciałbym, żeby twoi funkcjonariusze mieli stale na oku mieszkanie profesora Żmu-16 dzińskiego. Niech sprawdzą, czy ktoś się tam nie kręci, zwłaszcza pod nieobecność żony. Zainteresuj się tym osobiście, to ważna sprawa. Dorobek Żmudzińskiego ma znaczenie ogólnokrajowe.

Ma jeszcze ochotę zadzwonić do Towarzystwa Cybernetycznego z prośbą o przyspieszenie inwentaryzacji, ale uprzytamnia sobie, że nie ma żadnych podstaw do takiej interwencji. On, nawet nie student, tylko wolny słuchacz? Wystąpić z urzędu? Też nie ma prawa. Nic się nie stało. Powiedzą, że jesteśmy zbyt podejrzliwi.

Medytacje przerywa mu telefon.

- Ziętara czeka na ciebie - głos Basi.

Dziś ci się skończył urlop - wita go pułkownik - a od rana nie ma cię w robocie. Co to znaczy?

Zaszedłem do wdowy po profesorze - wyjaśnia. - Mówiłeś, że masz dla mnie jakąś niespodziankę - zmienia temat rozmowy.

Dobrze, że chociaż o tym pamiętałeś - burczy Ziętara podchodząc do sejfu. - Masz -

podaje mu wyjęte z pancernej szafy wymięte kartki. - Nasi celnicy zakwestionowali to w Kołbaskowie u niejakiego Hansa Mayera, który przekraczał granicę w drodze do RFN. Z ich raportu wynika, że papiery te służyły jako opakowanie kilku kupionych na bazarze drobiazgów.

Mayer tłumaczył, że tak mu je zapakowali sprzedawcy, a on nie wie, co to za maszynopis. Nie zna polskiego. Tymczasem na kartkach tych znajdują się jakieś wzory i dane liczbowe. Nie znam się na tym. Trzeba sprawdzić, czy to faktycznie makulatura. A może w ten sposób próbowano wywieźć z

kraju projekt jakiegoś wynalazku. Coraz częściej się zdarza, że nasze wynalazki i opracowania wędrują za granicę. Co ci zresztą będę tłumaczył.

Sam wiesz, jak to jest. Daj to specjalistom do zbadania.

ROZDZIAŁ III

Coś ustalił znakomity znawco cybernetyki? - Pułkownik Ziętara siedzi przy biurku i coś notuje. Twarz jak zwykle poważna, ton lekko kpiący.

Wrobiłeś mnie. - Biezan kładzie na biurku ekspertyzę. - Dziś ją dostałem. Ale niewiele z niej wynika. Ten maszynopis zawiera układ cybernetyczny, a ściślej mówiąc, projekt szczególnego układu, określającego zasady przetwarzania lub przekładania informacji. Ekspert twierdzi, że jest to część jakiegoś opracowania, jakiejś koncepcji cybernetycznej. Ja podzielałbym ten pogląd, choć nie jestem ekspertem.

To nie uważasz się jeszcze za eksperta? Po wysłuchaniu tyłu wykładów Żmudzińskiego?

- Nie kpij. Myślę, że niejednemu z nas przydałaby się porcja wiedzy cybernetycznej.

Czas humanistów mija, jeśli całkiem nie minął... Czy nie czujesz się głupio, gdy sięgasz po szkolne książki twoich chłopców? Ziętara wstaje zza biurka, podchodzi do okna.

Tak, masz rację. A już najgorzej, gdy przychodzą do mnie z jakimś pytaniem związanym ze współczesną chemią czy fizyką.

Ja po prostu nie umiem im odpowiedzieć. Usiłowałem się doksztalcać, przeglądałem ich podręczniki. Ale nic z tego nie wyszło. Luka jest zbyt duża. Musiałbym zaczynać od początku. A na to jest za późno. Więc rodzicielski autorytet pomału diabli biorą...

Czy twoi chłopcy nie mają do ciebie pretensji, że za skromnie żyjesz?

Żebyś wiedział. Wojtek chciałby mieć komputer, a Jacek video, bo właśnie kumple na video go zaprosili. Parę razy stwierdził, patrząc w sufit, że to wstyd nie mieć własnego samochodu.

Kiedys mi wprost powiedział, że byłem głupi. Wszyscy się dorabiali, a ty co, pytał.

Ani willi, ani daczy, ani wozu, mieszkanie w blokach i byle jakie meble. Ojciec Janka siedział

przez kilka lat na placówce, zbijał szmal, teraz jest dyrektorem firmy polonijnej i znów zbija szmal. Janek ma wszystko, co mu się zamarzy. A ja co? O głupie dzinsy musiałem miesiąc prosić...

- Coś mu na ten wywód powiedział? Ziętara odwraca twarz.

- Nic mądrego. W każdym razie nic, co by do niego trafiło.

Powiedziałem Ani, żeby się nim zajęła.

Bieżan wybuchła śmiechem.

To się nazywa rozwiązać problem. Przecież twoja Ania też pracuje. Kiedy ma to robić? Chłopcy potrzebują ręki ojca.

Czy twoim zdaniem maszynopis ma jakąś wartość? - Ziętara szybko zmienia temat.

Może i ma. Chodzi ci o to, czy był sens wywożenia go, czy też pełnił jedynie rolę opakowania? - Bieżan rozumie, że przyjaciel nie chce dłużej rozmawiać o swoich domowych kłopotach.

Dobrze, że ja nie mam takich problemów, myśli. Ale jest w tym myśleniu trochę żalu, że kiedyś nie wyszło mu małżeństwo, że co dzień wraca do pustej kawalerki, w której nikt na niego nie czeka.

Niby się przyzwyczył. Kolegom nawet tłumaczy, że tak jest lepiej, bo spokój, że popracować można dłużej i wypocząć, że nikt nie brzęczy nad uchem. Ale sam w głębi ducha żałuje. Teraz, kiedy dobiega pięćdziesiątki, żałuje, że nie ma rodziny, że nie ma spadkobiercy.

Spadkobiercy, ale czego, zaśmiał się w duchu.

Chyba tylko poglądów? Spadkobierca oceniłby na pewno, że są nie z tej epoki. Dóbr materialnych, oprócz skromnie urządzonej kawalerki i fiata 125p, nie posiada. Więc pewnie musiałyby przeżywać takie rozterki, jakie są udziałem Ziętary. Nic już się nie da zmienić, stwierdził w duchu, i może tak jest lepiej.

- Chciałeś wiedzieć, czy z tym maszynopisem to było rozmyślnie działanie, czy też czysty przypadek?
- przerywa ciszę, która od dłuższego czasu zalega w pokoju.

- Oczywiście.

Nie jestem w stanie na to odpowiedzieć. Przynajmniej teraz.

A co ci podpowiada twój słynny nos? - W głosie Ziętary znów kpina.

Być może jest to, tak sądzi ekspert, część jakiegoś większego opracowania, wywożonego po kawałku. Ów Hans Mayer jest inżynierem elektronikiem. Z pewnością ma pojęcie o cybernetyce.

Od tej strony pasuje. Ale nie można wykluczyć przypadku. Ktoś wyrzucił

niepotrzebny już maszynopis, a jakiś zbieracz makulatury uznał, że nadaje się do pakowania, i w ten sposób trafił na bazar. Osobiście byłbym za pierwszą wersją. Na bazarze tego rodzaju papieru do pakowania się nie używa, a jeśli, to nie owijają nim sprzedanych cudzoziemcowi drobiazgów. Na bazarach ceni się zagraniczników.

- Jakie czynności planujesz?

- Sprawdziłem, że Mayer nie figuruje w naszych kartotekach, ale trzeba będzie ustalić, w jakim celu do Polski przyjechał i z kim się kontaktował.

Może komuś zginęła praca naukowa lub jej część?

Grupa zajmująca się cybernetyką jest raczej niewielka. I na ogół wszyscy się znają.

Ale trzeba będzie zasięgnąć języka. Rzec musiałaby się rozgrywać w tym kręgu.

Więc szukaj w tym kręgu - uśmiecha się pod nosem Ziętara. - Może twoja profesorowa ci pomoże?

Właśnie, profesorowa. Przez ostatnie dni miał tyle zajęć, że niemal zapomniał o jej istnieniu. Dziś postanowił się do niej wybrać.

Dzwonił i dzwonił. Nikt do drzwi nie podchodził. Może wyszła?

Może chora? Wyrzuca sobie zaniedbanie życzliwego mu człowieka.

Dopiero po kilku minutach odzywa się drżący głos: Kto tam?

To ja, Bieżan - mówi głośno.

Drzwi uchylają się z wolna. Stojąca w nich kobieta jest zmieniona nie do poznania.

Posiwiała. Wychudła. Oczy nieprzytomne.

- Co się z panią dzieje - niezbyt zręcznie zagaja rozmowę.

Sadza go wygodnie w fotelu, sama przysiada obok na krześle.

Zaczyna mówić drżącym z przejęcia głosem:

- Jak to dobrze, że pan przyszedł, bo już nie wiem, co robić.

Ciągle mam wrażenie, że ktoś chodzi po mieszkaniu. Co rusz widzę, że jakiś drobiazg jest przesunięty. Coś się koło mnie bez przerwy dzieje...

Stan zakłócenia równowagi się pogłębił. Zaburzenia psychiczne?

Obsesja? Zadaje sobie pytania.

Czy coś zginęło z pani mieszkania, gdzie, z jakiego pokoju? - pyta.

Zginęło parę drobiazgów. Nożyk z rączką z kości słoniowej, przywieziony przez męża, srebrny widelec, moje rękawiczki...

Może pani gdzieś te przedmioty schowała i po prostu zapomniała o tym?

Sama tak początkowo myślałam, ale przeszukałam cały dom i nie znalazłam.

Kto wykradałby z mieszkania tak mało wartościowe przedmioty?

I po co? Ma pani w domu cenniejsze rzeczy - mówi tonem perswazji.

Nie tylko to. Boję się. Znalazłam w gabinecie męża wkręcony w maszynę nowy papier, a na nim słowa: „Kochana Dudusiu”. Tylko Adam mnie tak nazywał. Proszę, niech pan sam zobaczy - prowadzi Bieżana do gabinetu. - Ta szuflada z papierem do pisania jest lekko odsunięta, a w maszynie ten jakby list. Kartkę, na której Adam napisał parę linijek tekstu, wyjęłam i odłożyłam na półkę. O tu.

- A może zrobił to ktoś z gości?

- Parę osób, które przychodziły z kondolencjami, przyjmowałam w saloniku. Do gabinetu nikt nie wchodził.

Znalazłam to wczoraj. Wczoraj nikogo u mnie nie było. Zrobiło mi się słabo.

Musiałam wzywać pogotowie. Pół dnia leżałam jak nieżywa.

- Kto odwiedzał panią w ostatnich dniach? Profesorowa zastanawia się, potem wymienia nazwiska.

- To studenci i asystenci męża - dorzuca.

Bieżan notuje nazwiska i adresy. O drobiazgach, które uważa za zaginione, mogła zapomnieć. Ale ten list. Kawał? Kto może robić takie kawały i po co? A może napisała sama do siebie?!

ROZDZIAŁ IV

Środowisko cybernetyków? Mogę mówić tylko o grupie skupionej wokół profesora.

Byłem jednym z jego asystentów. - Władysław Mika, młody człowiek o śniadej, pociągłej twarzy, nie szczędzi zmarłemu profesorowi wyrazów uznania. - Miał dar trafiania do ludzi.

Wszystko, co mówił, a mówił przecież o trudnych problemach, było podane w sposób przejrzysty, prosty, choć pozbawiony uproszczeń. Chodziło mu o to, żeby nawet laicy go zrozumieli. Nie szczędził czasu ani nam asystentom, ani studentom. Ja się u niego habilitowałem.

Był pan zaprzyjaźniony z profesorostwem? Pytam, bo sam u nich bywałem.

Tak.

Nie spotkaliśmy się jakoś.

Bieżan stara się nadać swobodny ton rozmowie. Tylko w ten sposób może poruszyć interesujące go kwestie.

Odwiedzałem profesora, ale niezbyt często. Czasu brakowało.

Zajęcia przy katedrze, w domu żona, dzieci. Chłopcami trzeba się zajmować na co dzień. I tak to

wszystko się kręciło i kręci. Nawet nie wiem dokładnie, nad czym profesor ostatnio pracował. Mówił, że chodzi o nową teorię.

Był pan na pogrzebie profesora? Zdaje mi się, że pana widziałem.

Tak. Wpadłem też po pogrzebie do profesorowej. Z kondolencjami. Była w stanie szoku, nie bardzo rozumiała, co się do niej mówi.

- Odwiedzał pan ją później?

- Nie miałem czasu. Antczak wybierał się do niej z wizytą.

- Nic mi to nazwisko nie mówi. Kto to taki?

- Drugi asystent profesora. Stale u niego bywał. Bardzo chodził koło profesora. Starał się zaskarbić sobie jego łaski.

Zależało mu na tym, aby profesor wyjeżdżając za granicę zabierał go ze sobą.

- Wyjeżdżał z profesorem?

- Nie udało mu się. Profesor był zapraszany przez zagraniczne ośrodki cybernetyczne we Francji, Anglii, USA. Zaproszenia te obejmowały profesora i jego żonę. Nie mógł zabrać ze sobą żadnego z nas.

Chyba że na nasz własny koszt. Mnie nie było stać na taki wyjazd.

- Antczak mógł sobie na to pozwolić?

- Umiał się urządzać. Wzenił się w prywatny warsztat samochodowy, a także związał się z jakąś firmą polonijną.

- Nie bardzo go pan lubi?

- Nie bardzo -? przytaknął. - To cwaniak. Żaden z niego naukowiec. Cybernetyczne zainteresowania, doktorat czy asystentura to, moim zdaniem, pozory. Potrzebne do zrobienia kariery. Tak naprawdę to interesuje go wyłącznie kariera i pieniądze. Ale - dorzuca z cieniem żalu w głosie - profesor wolał go ode mnie.

. - Nie poznał się na nim?

- To nie tak. Może go i rozgryzł, ale profesor też człowiek. W kraju go nie rozpieszczano. O wszystko musiał walczyć, załatwienie każdej najdrobniejszej sprawy wymagało wysiłku.

Antczak mu nieraz pomagał. Miał różne chody, ja nie miałem takich możliwości.

Profesor był mu wdzięczny, bez względu na pobudki podejmowanych przez niego działań.

Umiał się też przymilić, przypocholebić. Do profesorowej zawsze chadzał z kwiatami, bombonierkami. Świadczył różne uprzejmości, woził ją na spacerki swoim samochodem.

Słowem był z obojgiem w zażyłych stosunkach.

-? Kto jeszcze bywał w tym domu?

- Paru studentów profesora. Między innymi Waldemar Kamiński, Janusz Szostek, młody człowiek, który przeniósł się do Warszawy gdzieś spod Łęczycy, Zdzisław Zimiński.

Dlaczego pan o to pyta?

. Profesorowa ma lęki. Twierdzi, że coś się koło niej dzieje. Chcę jej pomóc.

- Może to wynik szoku?

- Może. Ale trzeba to wyjaśnić. Dlatego chciałbym jak najwięcej wiedzieć...

- Zrozumiałe. - Mika jest gotów pomóc.

Czy profesor miał wśród cybernetyków wielu przyjaciół? - pyta, choć jest pewien, że odpowiedź będzie negatywna.

Wydaje mi się, że nie miał ich wcale. Środowisko jest podzielone, skłócone, jeden drugiemu oczy by wydrapał.

Względy ideologiczne? - uśmiecha się Bieżan.

Nie sędzę. Uważę w wchodzi zwykła zawiść. Zazdro-idy sukces. Wyścig w drodze do kariery...óra umożliwi urządzenie się w tym kryzj^owym, trudnym okresie. Nieważne za jaką cenę. Ja jeszcze tok nie umiem, ale Antczak opanował tę sztukę bez'* nie.

*

Pan często bywał u profesora Żmudzińskiego? - zagaja Bieżan rozmowę z Wacławem Antczakiem; zastaje go w warsztacie samochodowym, na którego szyldzie figuruje panieńskie nazwisko jego żony.

Nie za często - oponuje nieoczekiwanie Antczak, prowadząc gościa do małego kantorku na tyłach warsztatu. - Muszę czasem zastępować żonę - wyjaśnia. - To taki dodatek do doktoratu. - Ma przyjemny niski głos, ten rodzaj głosu, który zwraca uwagę i którego chętnie się słucha. - Pan pali? - Z czeluści granatowego fartucha wyciąga paczkę

„Carmenów”. - Proszę.

Jak pan to wszystko godzi? - pyta Bieżan po wysłuchaniu dłuższej historii o nawale naukowej pracy.

Ma pan na myśli prace na polibudzie, związane z asystenturą, warsztat i doradztwo w budowlano-drogowej firmie „Activ”?

Bieżan śmieje się.

- Właśnie.

Jakoś godzę. A pana co z tej gamy interesuje?

Przyszedłem jako przyjaciel domu profesorostwa do innego człowieka związanego z tym domem. Jestem zaniepokojony stanem psychicznym profesorowej.

Antczak poważnieje.

- Ja także - stwierdza. - Byłem u niej niedawno, pytałem, czy nie potrzebuje pomocy.

Często im pomagałem w różnych sprawach - rzuca jakby mimochodem. - Pomagałem nawet profesorowi przy pracy nad kilkoma jego książkami. Proponował mi wówczas, żebym wystąpił jako współautor... O czym to ja mówiłem! Aha, o profesorowej. Zauważyłem, że niewiele do niej dociera. Sądzę, że byłby jej potrzebny psychiatra. Chciałem ją zawieźć do znajomego lekarza. Odmówiła. Jest w takim stanie, że może sobie zrobić coś złego.

Może dobrze by było, gdyby komuś z nas na wszelki wypadek dała klucze do mieszkania - rzuca Bieżan w ciemno, ciekaw reakcji.

Nie byłby to zły pomysł - zgadza się Antczak, patrząc pytająco na Bieżana. - Pan to z nią załatwi?

-? Profesorowa mi mówiła, że kiedyś komuś z przyjaciół męża dawała klucze. -

Bieżan udaje, że nie słyszał pytania.

Tamten patrzy na niego uważnie.

- Może i komuś dawała. Nic o tym nie wiem. -? Kto ewentualnie mógłby wchodzić w rachubę?

-? Może Szostek, może Kamiński, ale najprędzej asystent profesora, Mika.

- Mika? - dziwi się Bieżan.

- A tak. Bardzo zabiegał o względy profesora. Chciał i mnie wygryźć. Ale mu się nie udało. Profesor wolał mnie.

- Ma pan zamiar ciągnąć dzieło profesora?

- Naturalnie. Jestem w jego prace wprowadzony i on sam przed śmiercią powiedział, że chce, bym je kontynuował.

-? Profesorowa nic mi na ten temat nie mówiła.

- Ech, ona! -? Machnięcie ręką. - Ona nie wie, na jakim świecie żyje! Jej najbardziej potrzebny jest psychiatra.

Może on ma rację, zastanawia się Biezan.

ROZDZIAŁ V

Podnosi głowę znad protokołu sekcji zwłok. Ta nieoczekiwana śmierć. Nie może jeszcze ochłonąć z wrażenia, jakie na nim wywarła wiadomość o śmierci profesorowej.

Zaledwie dzień wcześniej był u niej. Wydawała się zdrowsza, wyglądało na to, że pomału przychodzi do siebie. Nic nie zapowiadało tragedii.

Przeciwnie. Mówiła o planach wydania paru dzieł męża. I nagle ta wiadomość.

O śmierci profesorowej zawiadomił go szef dzielnicowego urzędu spraw wewnętrznych, ten, którego prosił o opiekę nad znękaną kobietą i jej mieszkaniem.

- Miałeś przecież... - zaczął w odpowiedzi na tę zaskakującą informację.

-? Cały czas o tym pamiętałem - przerwał mu tamten. - Moi ludzie bez przerwy kręcili się w pobliżu. Ciebie też miał przykazane, by obserwował mieszkanie. Z raportów wynikało, że nic się tam nie dzieje. Ona rzadko wychodziła z domu. Załatwiała sprawunki, co zajmowało jej jakąś godzinę, i wracała.

Przesłuchano wszystkich lokatorów i zeznania są niemal jednobrzmiące. Ci, którzy stykali się w ostatnim czasie z profesorową, twierdzą, iż odnieśli wrażenie, że boi się ona opuszczać mieszkanie, a jeśli już musi, to spieszy się z powrotem, jakby ktoś na nią czekał.

Wydawało się im, że nie jest całkiem przytomna. Idąc, na przykład, rozglądała się na wszystkie strony, jakby bała się, że ktoś ją śledzi. Dowiedziawszy się o tym, kazałem dzielnicowemu, żeby się do niej wybrał i wypytał dokładnie, co i jak. Poszedł i zameldował

mi potem, że ona boi się czegoś. Mówi, że ktoś chodzi po mieszkaniu i ciągle coś rusza.

Pytał, co zginęło. Oceniał, że to chyba jakaś psychoza.

Kto ją znalazł? - spytał szefa, kiedy ten skończył referować.

Sąsiedzi. Zauważyli, że drzwi wejściowe są uchylone. Weszli.

Znaleźli ją w gabinecie męża. Nie żyła. Zawiadomili pogotowie i nas. Oględziny robiła nasza ekipa. Zabezpieczyli i opieczętowali mieszkanie. Kazałem zrobić sekcję.

Wszystko masz w aktach.

- Przyślij mi je zaraz.

Przysłał rzeczywiście błyskawicznie. I teraz on, Biezan, ślęczy nad aktami, nie mogąc opędzić się myśli, że coś zaniedbał, czegoś nie dopatrywał, że w tej śmierci, być może, jest i jego wina. Z protokołu sekcji zwłok wynika, że zgon nastąpił z przyczyn naturalnych, że profesorowa umarła na zawał serca. Ale skąd u niej ten zawał? Zawsze mówiła, że ma serce zdrowe i w ogóle nic jej nie dolega. Więc jakiś wstrząs? Ale jaki mógł być jego powód, skoro z akt wynika, że w obserwowanym domu nic się nie działo?

Wstrząs spowodowany strachem?! Ona przecież się bała. Od śmierci męża ciągle się czegoś bała. Coś się musiało stać. Co to mogło być?

Przegląda protokoły z oględzin zwłok i mieszkania. Ciało leżało zwrócone twarzą do podłogi. Fotel przy biurku był przewrócony.

Najprawdopodobniej padając chwyciła za poręcz i upadła razem z fotelem. Tak to wyglądało z dołączonych do akt zdjęć. Tylko dlaczego właśnie tu, w gabinecie męża, dostała zawału i co znaczyły w tej sytuacji uchylone drzwi wejściowe? Gdyby znaleźli ciało przy tych drzwiach, wszystko byłoby zrozumiałe.

Dowlokła się do drzwi, chciała wezwać pomocy, nie zdążyła. Ale tak?

Przerzuca akta. Szuka ekspertyzy zamka drzwi wejściowych. Jest.

Zrobili. „Brak śladów otwierania innym niż właściwy kluczem”.

Więc nikt się nie włamał. Dwie pary kluczy znaleźli w mieszkaniu i zabezpieczyli.

Ona mówiła także o dwóch parach kluczy. To by się zgadzało. Wchodząc nie zamknęła drzwi wejściowych? Z roztargnienia? Nie można wykluczyć. Z zeznań sąsiadów i milicjantów wynika, że ostatnio chodziła jak nieprzytomna. Skąd ten zawał? Pojadę na miejsce, postanawia nagle. Muszę się sam przekonać. Tyle jej jestem winien.

Łączy się z szefem rejonówki. Prosi, żeby przysłał do niego funkcjonariusza z kluczami od mieszkania Żmudzińskich, a najlepiej członka przeprowadzającej oględziny ekipy, który później ten lokal opieczętuje.

W ciągu godziny są już na miejscu. Swoje oględziny zaczyna od gabinetu.

- Wszystko tu jest tak, jak było - mówi towarzyszący mu technik.

Rzeczywiście, fotel leży wywrócony, obok obrys ciała. Stała więc przy biurku. Tylko po co tu przyszła i co było powodem przeżytego wstrząsu? Biurko jest puste, pokryte ciemną warstwą kurzu. Otwarta maszyna stoi tak, jak stała wówczas, kiedy ją widział. W protokole oględzin odnotowano: wkręcona w maszynę kartka papieru. Na kartce kilka słów. Nachyla się, czyta. Tekst jest krótki: „Czekam na ciebie - Adam”.

Zaraz, zaraz. Co było na kartce wówczas, gdy mi ją pokazywała?

Usiłuje sobie przypomnieć.

Już wie: „Kochana Dudusiu”. Mówiła mi wówczas, że tylko on ją tak nazywał.

Dlatego przeczytawszy przeżyła szok. Tamto profesor mógł napisać przed śmiercią, było to wytłumaczalne. Ale to?

Wyciąga papier przez chusteczkę.

- Trzeba zbadać daktyloskopijnie - rzuca technikowi. - Papier i maszynę.

Co ona mi wówczas jeszcze mówiła, zastanawia się. Ktoś ruszał teczki na regałach.

Podchodzi do zastawionej półkami ściany. Same teczki - spuścizna po profesorze.

Jedna była lekko wysunięta. Jest. Na niej jakby cieńsza warstwa kurzu. Wówczas oglądali ją razem. Na oko nic innego nie było ruszane. Na oko. Że też nie zrobili dotąd inwentaryzacji.

Jak najszybciej trzeba spisać i zabezpieczyć dorobek profesora.

Ta kartka, co znaczy ta kartka, zastanawia się, gdy obchodzi wszystkie pokoje. Jeśli by to sama napisała, nie dostałaby z tego powodu zawału. Tu jednak musiał ktoś bywać. Te lęki mogły mieć jakąś realną podstawę.

Odsyła technika do urzędu, sam wstępuje do sąsiadów. Po drugiej stronie klatki schodowej mieszka młode małżeństwo, z teściami, którzy są już na emeryturze. Oni właśnie znaleźli zwłoki Żmudzińskiej.

Starsza siwa pani widać lubi sobie pogadać i robi wrażenie osoby interesującej się żywo życiem sąsiadów. Ujęta uprzejmością Bieżana chętnie wdaje się w rozmowę.

Zapewne pan wie, że sporo osób bywało u profesorostwa.

Przyjeżdżali i obcokrajowcy. Zapamiętałam też pana. Przychodził pan zwykle z profesorem. Wieczorkiem. Widziałam pana także po śmierci profesora. Ze dwa tygodnie temu. A ona, biedaczka - starsza pani ma łzy w oczach. - Tak skończyć. Rozmawiałam z nią na schodach przed samą śmiercią. Mówiła zupełnie rozsądnie.

Jakby się otrząsnęła trochę po tych przejściach. Tylko była jakaś niespokojna...

Nie zwierzała się pani z przyczyn tego niepokoju?

Nie. Ona w ogóle nie należała do tych, co się zwierzają. Ale zaraziła mnie tym niepokojem i jak zauważyłam uchylone drzwi, wystraszyłam się, że coś się stało. Wtedy ją znalazłam.

- Akta niech idą do archiwum - decyduje, prosząc szefa dzielnicowego urzędu, by przysłał kogoś po ich odbiór. - Nie widzę podstaw do wszczęcia śledztwa - dodaje, dziękując za starania.

Sam jednak nie ma zamiaru tak sprawy zakończyć. Jest niemal pewien, że coś w tym musiało być. Te uchylone drzwi i kartka w maszynie.

-? Mam ostatnio pecha - mówi do Ziętary, myśląc i o śmierci profesorowej. -? Nic mi nie wychodzi. Nad tym maszynopisem namęczyłem się wiele godzin, zresztą nie tylko ja, i nie udało mi się ustalić nic interesującego z naszego punktu widzenia. A Mayer przyjechał tu do przedstawicielstwa swojej firmy. Z tego co wiemy, żadnych kontaktów nie nawiązywał.

Załatwił, co miał załatwić, i wrócił do Berlina.

Czyja to mogła być praca? - zastanawia się Ziętara.

W Towarzystwie Cybernetycznym nie wiedzą, kto z ich warszawskich czy pozawarszawskich członków pracował nad tego rodzaju teorią. Jest to zresztą zrozumiałe. Żaden z nich nie opowiada, nad czym pracuje. Do czasu ukończenia dzieła, każdy trzyma swoje odkrycie w tajemnicy.

- Więc martwy punkt?

- Martwy punkt - powtarza jak echo Bie-żan.

Część druga

SPÓŁKA

ROZDZIAŁ I

Słoneczny, październikowy dzień. Puszcza Kampinoska w złoto-brązowo-zielonej szacie. Kobierzec z opadających liści zakrywa ścieżki i ścieżynki przed oczyma przechodnia.

Nie można ich odróżnić od podszycia.

Przez las, na przełaj, idzie młody leśniczy z psem myśliwskim przy nodze. Codzienny, normalny obchód rejonu. Pies trzyma się pana, nauczony, by nie płoszył zwierzyny. Bogiem a prawdą tej zwierzyny jest już w Kampinosie niewiele. Za blisko Warszawy, za dużo chętnych do polowań, nie licząc miejscowych kłusowników. W jego rejonie zaledwie parę saren, dwie lochy z młodymi warchlakami, trochę zajęcy. Ot, i wszystko. Nawet głuszce się wyniosły.

Tokują gdzie indziej. Za duży ruch dla leśnych mieszkańców i dzikiego ptactwa. W pobliżu Palmiry...

Szlak turystyczny.

Z zamyślenia wrywa go niespokojne zachowanie psa. Odbiega od nogi, dopada jakiejś kępy liści, zaczyna kopać, potem wraca do pana i znów pędzi z powrotem.

- Atos, do nogi.

Pies nie reaguje na wołanie. Kopie i łapami odrzuca ziemię. Może wywęszył kreta?

Podchodzi bliżej. Przeciera oczy, jakby im nie wierzył. Z wygrzebanego przez Atosa dołka wystaje ludzka ręka.

Odciąga psa za obrozę. Zawraca do biura. Trzeba natychmiast zawiadomić posterunek o tym nieoczekiwanym znalezisku.

- Niech pan wraca na miejsce zdarzenia i czeka na nas. - Komendant posterunku mówi to lekko podnieconym tonem. - W biurze musi ktoś zostać, kto poprowadzi nas przez puszcę.

Przyszykujcie łopaty.

- Ale pasztet - mruczy leśniczy. Jednemu z kręcących się robotników poleca, by zaraz pobrał łopaty z magazynu. Pójdą razem do lasu. Innego uprzedza, że ma czekać w biurze i zaprowadzić funkcjonariuszy na miejsce, w którym znalazł trupa. Dokładnie je określa.

Znów idzie przez las. Teraz z pomocnikiem. Na miejscu towarzyszący mu człowiek opiera się o łopatę i na widok rozkopanej przez psa dziury wydziwiał:

- Nowy kłopot. Będą się nam tu gliny kręciły bez przerwy. I gadaj tu, człowieku, gdzie byłeś i co robiłeś...

Leśniczy milczy. Wie, o co tamtemu chodzi. W jego wiosce, właśnie tej na skraju lasu, kłusują. Może to właśnie kłusownicy kogoś ustrzelili? Mają przecież pochowane obrzyny. Mogli i siekierą załatwić jakieś stare porachunki. Siekierą, kołkiem. Ale przecież do tej pory był tu spokój. A może to ktoś z wypadku drogowego? Nie chce mu się wierzyć, że mordercą mógłby być ktoś z miejscowych. Szosa przecież niedaleko. Pijany kierowca przejechał człowieka, a trupa ukrył, żeby sprawy nie było?!

Możliwe, bardzo możliwe.

Oczekiwanie się przedłuża. No, nareszcie, oddycha z ulgą na widok nadjeżdżających na rowerach milicjantów z kampinoskiego posterunku. Teraz niech oni się martwią...

- Mogę już iść? - pyta.

Nie. Musi pan razem z nami zaczekać na przyjazd ekipy - wyjaśnia sierżant Matysiak.

- Nie będziemy sami odkopywać zwłok. A teraz, żeby czasu nie marnować, niech pan opowie, jak doszło do tego odkrycia. - Wyciąga notes i długopis.

Tak naprawdę to zwłoki znalazł mój pies. Mnie nawet do głowy by nie przyszło... -

Nie kończy, patrzy na podskakującą na leśnych wybojach nyskę.

Błyska flesz, potem migają łopaty. Sypie się odrzucana z rozmachem ziemia. Nie tak jej wiele. Wydobyć zwłok nie nastęrcza trudności. Leży przed nimi ciało pięćdziesięciokilkuletniego mężczyzny w tweedowym ciemnopopielatym garniturze. Na twarzy i ubraniu grudki ziemi.

Na oko żadnych obrażeń.

Znów błyska flesz. Przy zwłokach przykłęka milicyjny lekarz.

Unosi głowę denata. Tył czaszki jest zmiażdżony.

Cios zadany z tyłu narzędziem tępokrawę-dziastym - mówi podnosząc się z kolan. -

Zgon najprawdopodobniej nastąpił jakieś czterdzieści do czterdziestu ośmiu godzin temu.

Czterdzieści do czterdziestu ośmiu godzin - powtarza jak' echo przybyły z ekipą porucznik Andrzej Korcz z sekcji zabójstw stołecznego urzędu. - To znaczy w niedzielę między osiemnastą a drugą w nocy? Z trzeciego na czwartego października.

To orientacyjnie. Uściślę po sekcji. Jeśli w tym czasie był przymrozek to zgon mógł nastąpić wcześniej... Sam pan rozumie.

Właśnie, czy był przymrozek? Trzeba się będzie zwrócić do Instytutu Meteorologii, notuje w pamięci.

- Przeszukaliście już ubranie? - odwraca się do swojej ekipy.

Pytanie jest retoryczne. Właśnie to robią. W kieszeniach denata nie ma nic. Nawet świstka. Na rękę ślad po zegarku.

Chyba zabójstwo na tle rabunkowym. Mogło to się stać w Kampinosie - głośno myśli.

Eee, u nas zabójstwa się nie zdarzają - obrusza się komendant kampinoskiego posterunku. - Co innego bójki. Raczej ktoś go tu przywiózł i zakopał. Leśniczy mówił, że to może z wypadku.

Szosa niedaleko. Ruch duży.

Z wypadku? - zastanawia się Korcz. - Nie bardzo mi to pasuje. Doktor twierdzi, że zginął od uderzenia w tył^ głowy narzędziem tępokrawędziastym. Uderzony przez samochód mógł wprawdzie trafić głową w korzeń lub kamień, ale taki wypadek pociągnąłby za sobą i inne obrażenia: złamania kości, otarcia naskórka, ślady na ubraniu. A tu nic, tylko zmiażdżony tył czaszki.

Mogli go obrabować gdzie indziej, a tu przywieźć i zakopać.

Nieraz już tak było - komendant broni swego rejonu. - Mało tu różnych przyjeżdża?!

Odmiećcie warstwę liści, może są ślady wleczenia - zwraca się do towarzyszących mu milicjantów.

- Ale czym?

- Jak to czym? Mało tu gałęzi? Tylko ostrożnie. Jeśli go przywieziono, może odcisnął się gdzieś ślad opony albo przeciągania zwłok. Może sprawca czy sprawcy zaczepili o jakiś krzak?

- Siad opony w tych liściach? - mruczy pod nosem jeden z funkcjonariuszy. - A bo to wiadomo, ile ich naspadało przez te dwie doby?

Korcz udaje, że nie słyszy tej wymiany zdań. Jego ekipa też przeszukuje teren.

Rutynowa czynność. A nuż... Może gdzieś ślady krwi?

- Dajcie tu fotografa i technika! Na tym krzaku jest nitka.

Musiała się zaczepić...

Ciemnobrązowa nitka wędruje do koperty. Nie pochodzi z ubrania denata. Ono jest ciemnopopielate. Krzak rośnie w odległości dwustu metrów, licząc od miejsca znalezienia zwłok, w kierunku utwardzonej leśnej drogi, prowadzącej do szosy. Tędy mógł bez trudu wjechać samochód.

Po paru godzinach daremnych poszukiwań ekipa wraca do urzędu.

ROZDZIAŁ II

- Zabójstwo najprawdopodobniej na tle rabunkowym - referuje Korcz naczelnikowi Jasińskiemu wstępne ustalenia. - Denat został doszczętnie obrabowany. Zabrano mu zegarek i portfel. Kieszenie też miał opróżnione dokładnie. Nie było notesu, kalendarzyka, biletu, czy czegokolwiek, co mogłoby posłużyć do identyfikacji. Widać, że ubranie zostało starannie przeszukane.

Trochę za starannie, jak na działania zwykłych rzezimieszków.

To o niczym nie świadczy! - Naczelnik, Roman Jasiński, wzrusza ramionami. - Każdy bandzior wie, co robić, żeby utrudnić identyfikację. Kilka lat temu była u nas sprawa o zabójstwo zegarmistrza-pasera. Szkielet znaleźliśmy też w Kampinosie. Po roku. Okazało się, że to zwykła złodziejska dintojra. Oszukał ich i tak mu się zrewanżowali. Nawet ubranie zdjęli. Zakopali go tylko w bieliźnie.

Ten nie wygląda na człowieka, który miałby tego rodzaju kontakty. Wypielegnowany, ubrany od stóp do głów w rzeczy zagraniczne, wiek koło pięćdziesiątki. Ręce delikatne, zadbane.

Pracą fizyczną na pewno się nie zajmował. Musiał zwracać uwagę swoim wyglądem.

Zapewne i pełnym portfelem. Tylko mi nie pasuje ten Kampinos. Czy zwykły bandziorek zadawałby sobie trud wywożenia zwłok do Puszczy Kampinoskiej?

Skąd wiesz, że wywoził? Nie wynika to z dotychczasowych ustaleń. Ten człowiek mógł być napadnięty w samej puszczy.

Zwłoki odkopaliście w pobliżu Palmir. Może wybrał się w niedzielę na cmentarz i tam został zaatakowany przez miejscowych? Może gościł w którejś z kampsoskich wiosek? U

krewnych, znajomych. Mógł trafić na jakąś zabawę, a podczas takich zabaw, sam wiesz, różne narzędzia idą w ruch. Mogli dać mu w łeb po pijaku.

-? Leśniczy twierdził, że jego rejon jest spokojny. Tylko czasem kłusownicy...

Tylko! - W głosie szefa wyraźna ironia. - A kłusownicy, myślisz, nie rabują, jak trafi się okazja?! Teraz wcześniej się robi ciemno. Mógł zostać napadnięty.

Na ciele nie ma żadnych obrażeń oprócz pęknięcia podstawy czaszki. Lekarz twierdzi, że cios został zadany narzędziem tępokrawędziastym.

Tępokrawędziastym narzędziem może być siekiera, urzyn, kawał łomu. Polecieś przesłuchać ludzi z okolicznych wiosek?

Jeszcze nie. Zakładam, że został tam przywieziony i zakopany.

Świadczy o tym ten skrawek nitki znalezionej na krzaku i starannie przeszukane ubranie. Żaden bandzior by się tak nie bawił. W łeb, portfel, zegarek i w nogi.

Może masz rację - mruży szef. - Mógł to być zresztą i wypadek drogowy. Mówisz, że to blisko Palmir, że niedaleko szosa. Możliwe, że ktoś go potrącił, a ten uderzył głową o asfalt, kamień lub drzewo, i po wszystkim. Kierowca przeszukał ubranie, zakopał zwłoki i uciekł. Takiej ewentualności też nie można wykluczyć. Trzeba jak najszybciej przeprowadzić rozpoznanie: rozmowy z taksówkarzami, właścicielami pojazdów, restauracji, hoteli, no i rzecz jasna z ludźmi z położonych w pobliżu miejsca zdarzenia wiosek. Może ktoś coś widział, słyszał. Jak się ich rozgada...

Rozgada, bagatela, myśli Korcz, słuchając tych poleceń. Szef zna środowisko bandziorków. Ale wieś? A on, Korcz, miał już do czynienia ze świadkami ze wsi. „Nie wiem”, „nie pamiętam”, „nie słyszałem” - zwykły repertuar. Kto by chciał narażać się sąsiadom, chodzić za świadka. Ale co tu tłumaczyć szefowi. Szef, wiadomo, zawsze ma rację.

- Tak jest - mówi służbiście.

Sprawdziłeś w Biurze Osób Zaginionych i Poszukiwanych?

Tak. Nie mają takiego zgłoszenia. Dać dziś komunikat do prasy?

Daj na jutro. Ogólnokrajowy. Zawiadom naczelników Biur Kryminalnych, niech ustalą, czy na ich terenie nie zaginął taki facet. Jeśli, jak mówisz, denat miał na oko pięćdziesiąt lat, pewnie pracuje. Nie zjawił się w robocie, zaczną go szukać. Zaalarmują rodzinę. Wysłałeś już ubranie do ekspertyzy?

Tak. Ubranie, ten skrawek nitki, buty. Z pytaniem o ślady lub mikroślady ziemi, leśnego podszycia, smaru, benzyny...

-? W porządku. Przejmiesz tę sprawę. Na jutro plan dalszych czynności.

- Dostałem śledztwo - zwierza się siedzącemu z nim w jednym pokoju koledze.

- Nie zazdroszczę. Stary bebechy z ciebie wypruje, zwłaszcza jak się okaże, że to ktoś znaczny.

Korcz nie podejmuje dyskusji. Przysuwa telefon i łączy się z Zakładem Medycyny Sądowej.

Doktorze, są już wyniki sekcji denata z Puszczy Kampinoskiej?

Potwierdzam to, co mówiłem podczas oględzin. Pęknięcie podstawy czaszki spowodowane uderzeniem narzędziem tępokrawędziastym.

- Są na ciele ślady innych obrażeń?

-? Tylko pośmiertne. Mogły powstać podczas przenoszenia lub zakopywania ciała.

- Czas zgonu?

- Tak jak mówiłem. Dokładniej nie da się określić. Rozkład się jeszcze nie zaczął.

-? Czy pana zdaniem tego typu obrażenia czaszki mogły nastąpić w wyniku potrącenia przez samochód?

- Niewykluczone. Gdyby na przykład prze-balansował nad maską i padając uderzył

tyłem głowy o nierówny asfalt, o wystający korzeń lub kamień. Tylko wówczas ślady upadku powinny być widoczne na ubraniu. Poza tym doznałby zapewne i innych obrażeń, na przykład w postaci złamań przyżyciowych.

Korcz łączy się z Zakładem Kryminalistyki.

- Na kiedy będzie ekspertyza śladów i mi-krośladów na ubraniu i butach denata? - py-48 ta podając numer i datę pisma. - Przesłaliśmy już do badań.

Nie tylko stołeczny urząd mamy na głowie. O tym „kiedy”, pogadamy za parę dni.

Muszę podjechać do nich osobiście. - Korcz patrzy na kolegę.

- Teraz wychodzę. Jadę do Biura Poszukiwań.

W Biurze Poszukiwań właśnie odbierają jakieś zgłoszenie.

-? Jak był ubrany? - pyta siedząca przy telefonie funkcjonariuszka. - Już notuję: ciem-nopopielate tweedowe ubranie, ciemnobrązowy skórzany płaszcz, zamszowe, ciemnobrązowe obuwie. Dziękuję - odkłada słuchawkę.

Pasuje. To chyba on.

Jak nazwisko zaginionego? - pyta Korcz gorączkowo.

Peter Engberg. Szwed. Pięćdziesiąt trzy lata. Właściciel firmy Przedsiębiorstwo Zagraniczne „Activ”. Zgłosił pełnomocnik firmy Tadeusz Skawiński. Nie widziano go od soboty. Mieszkał w „Forum”.

- Dziękuję - rzuca Korcz już od drzwi wyjściowych.

ROZDZIAŁ III

Pełnomocnik właściciela Przedsiębiorstwa Zagranicznego „Activ”, inżynier Tadeusz Skawiński, przystojny, czterdziestokilkuletni mężczyzna, wychodzi z sekretariatu powitać zaanonsowanego mu gościa.

- Proszę, bardzo proszę - mówi kordialnie, wyciągając rękę na przywitanie; gest zapraszający w kierunku otwartych drzwi do gabinetu.

Korcz wchodzi pierwszy i uważnym spojrzeniem lustruje wnętrze.

W niczym nie przypomina ono dyrektorskich gabinetów urządzonych „na wysoki połysk”. Nie ma dywanu, palmy, nakrytego zielonym suknom stołu konferencyjnego. Duże jasne, zwykłe biurko, także krzesła. Jedyne luksus to dwa miękkie, obite skórą fotele, przy niskim jasnym stoliku.

- Proszę, niech pan siada. - Skawiński ręką wskazuje fotel, sam zagłębia się w drugim.

- Dziwi się pan zapewne, że tu tak skromnie, bez dyrektorskiego wystroju - mówi, jakby odgadywał myśli porucznika. - Właściciel uważa, że tu się pracuje, a nie urzęduje, i że szkoda pieniędzy na jakieś specjalne wyposażenie. Naszą reklamą mają być wykonywane przez nas roboty, drogowe i budowlane, a nie wyposażenie gabinetów. W tempie i jakości faktycznie bijemy na głowę wszystkie uspołecznione przedsiębiorstwa. Oni wykonują jakiś odcinek drogi w dwa lata, a my w dwa tygodnie. U nas się płaci, dobrze płaci, za wykonaną robotę, więc ludzie pracują. - Urywa, czekając, aż sekretarka postawi przed nimi filiżanki z kawą.

Znakomita - mówi Korcz po pierwszych łykach. - I ten aromat.

Importowana?

Ze zgniłego Zachodu - uśmiecha się Skawiński. - Pan Engberg sam lubi dobrą kawę i uważa, że taką tylko należy traktować gości.

Pan zgłosił zaginięcie właściciela firmy? - Korcz przechodzi do interesującej go sprawy. Umawiając się na spotkanie nie? napomknął ani słowem o znalezieniu zwłok. Chciał

choćby pobieżnie poznać otoczenie denata i dowiedzieć się o nim czegoś, zanim dojdzie do identyfikacji. - Dlaczego sądzi pan, że zaginał? Zaalarmowała was rodzina?

Nie, na razie rodzina jeszcze nic nie wie. Pan Engberg jest Szwedem polskiego pochodzenia. On i

jego rodzina mieszkają w Sztokholmie. Kiedy w kraju zaczęły powstawać firmy zagraniczne, pan Engberg zainwestował w tę firmę swój kapitał.

Tak powstało przedsiębiorstwo zagraniczne „Activ”, roboty drogowe i budowlane.

Pan Engberg tylko od czasu do czasu, raz lub dwa razy na miesiąc, przyjeżdża do kraju, jego pełnomocnikiem na Polskę był magister Wojciech Józwiński, a teraz od paru dni ja występuję w tym charakterze.

Czy właściciel zawsze zapowiada swój przyjazd?

Tak. Telefonował do nas we wtorek, zawiadamiając, że przyleci „Sasem” w środę rano.

Na lotnisko wyjechał po niego jednym z naszych samochodów mój poprzednik, pan Józwiński. Odwiózł go do hotelu „Forum”, do zajmowanego zwykle przez niego apartamentu. Koło jedenastej pan Engberg przyjechał już do biura. Spotkałem go na korytarzu. W czwartek wezwał mnie na dziesiątą. Myślałem, że chodzi o sprawozdanie z wykonanych robót. Ale nie. Nie wiem, czy się pan orientuje w naszej strukturze?

- Nie.

- Otóż właściciel, obywatel szwedzki w naszym wypadku, stale mieszka w Sztokholmie, a w kraju, jak już mówiłem, ma swego pełnomocnika. Nadzoruje on działalność firmy, jest upoważniony notarialnie do podejmowania pieniędzy z kont na różnego rodzaju wypłaty, ma prawo przyjmowania i zwalniania ludzi, łącznie z dyrektorem. Dyrektor z kolei odpowiada za wykonanie zleceń produkcyjnych, a więc za organizowanie robót, wykonawstwo, reklamę. Za wszystko, co wiąże się z funkcjonowaniem firmy. Ma do pomocy asystenta. Do czwartku ja byłem takim asystentem. W czwartek, jak mówiłem, wezwał mnie pan Engberg i oświadczył, że mianuje mnie swoim pełnomocnikiem. Zaskoczył mnie ten awans. Nie wiem, czy potrafię, powiedziałem, ale on nie zamierzał ze mną dyskutować.

Złatwił mi błyskawicznie pełnomocnictwo notarialne i polecił przejąć wszystkie sprawy od magistra Józwińskiego. W sobotę o dwudziestej umówił się ze mną na kolację w

„Forum”. Mieliśmy szczegółowo omówić bieżące sprawy.

Czy to spotkanie doszło do skutku?

Tak. Rozstaliśmy się koło północy. W poniedziałek rano szef zamierzał sprawdzić stan realizacji zamówień i wpływów. Miał stawić się dyrektor, radca prawny i główny księgowy. W poniedziałek i wtorek zamierzał spotkać się z naszymi zleceniodawcami, a w środę mieliśmy obaj skontrolować prowadzone przez firmę roboty. Szef chciał pod koniec tygodnia wrócić do Sztokholmu. W poniedziałek o umówionej godzinie pan Engberg nie zjawił się i nie zatelefonował. Jest to człowiek niezwykle punktualny, dokładny, słowny.

Biznesmen, który żyje według dewizy „czas to pieniądz”. Nie słyszałem, żeby kiedykolwiek nawalił. Jeśli mu coś wypadło, z góry odwoływał umówione spotkanie osobiście lub przez sekretarkę.

Początkowo myślałem, że może zachorował. Około dziesiątej zadzwoniłem do

„Forum”. W jego apartamencie nikt nie odpowiadał. Połączyłem się więc z recepcją.

Recepcjonistka stwierdziła, że klucz jest na dole. Pomyślałem, że już wyszedł i pewnie zaraz do biura przyjedzie, ale gdy nie zjawił się do popołudnia, odwołałem na własną rękę zaplanowane na następny dzień spotkanie z kontrahentami i osobiście pojechałem do

„Forum”. Klucz od apartamentu nadal wisiał w recepcji, Engberg w hotelu się nie zjawił.

Zielonego volvo, wozu z naszej stajni, którym jeździł pan Engberg, pod „Forum” także nie było. Tego dnia wieczorem dzwoniłem jeszcze do hotelu. Nie było go nadal. To samo usłyszałem we wtorek rano. Byłem pewien, że coś się musiało stać. Wypadek drogowy?

Zasłabł, zachorował?! Sekretarka dzwoniła do pogotowia, szpitali, milicji. We wtorek po południu zgłosiłem zaginięcie.

Mógł także wyjechać do kogoś z rodziny. Ma rodzinę w Polsce?

Podobno dalekich krewnych. Ale nie znamy ich nazwisk ani adresów.

Czy przed zgłoszeniem o zaginięciu porozumiał się pan z jego żoną?

Nie. Nie chciałem jej alarmować. A nuż okazałoby się, że on tu kogoś ma? Nigdy by mi nie darował, gdyby przeze mnie wyszło to na jaw. Jestem w trudnej sytuacji: świeżo mianowany, nie orientuję się w wielu sprawach, rozgrywkach. Bałem się, że narobię bigosu.

- Czy Engberg faktycznie ma tu kogoś?

- Słyszałem, że tak, ale to mogą być plotki. Sam pan rozumie, kapitanie: człowiek bogaty, przebywający w Polsce bez rodziny.

- Niech pan powtórzy te plotki. Może jest w nich ziarno prawdy.

- Podobno jakąś panienkę, aktorkę czy śpiewaczkę, naraił mu mój poprzednik. Ktoś widział go z nią w teatrze. Stąd to gadanie. Ale może to zwykła znajomość. Mężczyzna w jego wieku musi się zabawić od czasu do czasu w damskim towarzystwie.

Wie pan to po sobie? Pan przecież też jest w tym wieku?

Mam rodzinę na miejscu. Kocham żonę i jeśli chodzimy bawić się to razem.

-? Bawić razem z panem Engbergiem i jego flama?

Nie orientuje się pan w firmowych układach. Pan Engberg nie miał zwyczaju zapraszać pracowników na żadne wspólne imprezy. Wszystko na dystans. Wydawał

dyspozycje przez pełnomocnika. Był niezadowolony z kogoś, zwalniał. Też przez posły.

Nawet gdybyśmy się przypadkiem spotkali w tym samym lokalu, nie zaprosiłby nikogo z nas do swego stolika.

Utrzymywał taki dystans również z poprzednim pełnomocnikiem, Józwińskim?

Z nim nie. Ale oni byli zaprzyjaźnieni. Niech mi pan powie, czy już wiadomo, co stało się z panem Engbergiem, czy też rozmawia pan ze mną w związku ze zgłoszeniem?

Korcz nie odpowiada na to pytanie.

- Ostatni raz widział pan Engberga w sobotę około północy?

Tak.

Jak był wówczas ubrany?

Skawiński zastanawia się chwilę.

- Był w ciemnopopielatym tweedowym garniturze, beżowej koszuli, na nogach zamsze.

- A okrycie wierzchnie?

Chodził w brązowej skórze. Na kolację zszedł w ubraniu.

Mieszkał przecież w „Forum”. Czy coś się z szefem stało? - ponawia pytanie.

Prawdopodobnie znaleźliśmy jego ciało. Chciałbym, żeby pan pojechał ze mną zidentyfikować te zwłoki.

ROZDZIAŁ IV

Apartament w „Forum”, zajmowany przez Petera Engberga, jest superkomfortowy. W

sypialni tapczan, kolorowy telewizor, radio sprzężone z zegarkiem, lodówka pełna drogich trunków. W drugim pokoju - gabinecie, biureczko, wygodny fotel, kanapka, obok dwa miękkie fotele, niski stolik.

Tu można pomieszkać, Korcz porównuje wyposażenie z dobrze mu znanym z podróży służbowych standardem hoteli i hotelików w przeróżnych miastach i miasteczkach. Tu nieskazitelna czystość, tam nawet pościel bywa przybrudzona, widać prana rzadko, przeprasowywana tylko, żeby klient mógł zachować złudzenie, że zmieniono ją dla niego.

Tym razem jednak wolałby zastać pomieszczenie mniej lśniące.

Na posypanych daktylo-skopijnym proszkiem powierzchniach ani śladu linii papilarnych. Zapewne

zostały starte razem z kurzem.

Jeśli istniały jakieś ślady na dywanach, skutecznie zlikwidował je elektroluks.

Ekipa szuka śladów krwi. Być może Engberg został tu zamordowany, a ciało przewiezione i zakopane w puszczy. Mało prawdopodobne, ze względu na trudności z wyniesieniem zwłok z hotelu, ale niewykluczone. Jest przecież awaryjne wyjście przeciwpożarowe. Jeśli zna się ten teren.

Doświadczenie dowodzi, że nieprawdopodobne okazuje się często prawdopodobnym, więc ekipa sprawdza pomieszczenia z drobiazgową dokładnością. Korcz przegląda wyjęte z szufladki biurka karteluszki. Są wśród nich rachunki wystawione na nazwisko denata i mandat kredytowy ostemplowany przez milicję z Łowicza. Widnieje na nim data trzeci października i numer rejestracyjny poszukiwanego volvo, którego dotąd nie udało się znaleźć.

Mandat, to pierwszy ślad trasy, którą krytycznego dnia przemierzył Engberg.

Korcz przeglądając zawartość szufladek szuka przede wszystkim jakiegoś notatnika zawierającego telefony i adresy znajomych oraz kontrahentów. Musiał przecież mieć gdzieś to wszystko zapisane. W biurze nic nie znalazł, więc może tutaj. Chyba że nosił przy sobie.

Pytał już o to Skawińskiego, ale niczego się nie dowiedział. Był nowym pełnomocnikiem, a wcześniej nie miał żadnego kontaktu z właścicielem firmy. Dyrektor, to był jego „szczebel”.

Sekretarka panna Zofia Malik właśnie zachorowała.

Myślę, że inżynier Józwiński będzie mógł udzielić dokładniejszych informacji -
oświadczył Korczowi. - Jeśli będzie chciał - dorzucił.

Dlaczego ma nie chcieć? Skąd te wątpliwości? - spytał.

Engberg zwolnił go w trybie, który można by nazwać, natychmiastowym. Wprawdzie kazał mu pensję wypłacić z góry za cały rok, ale zarządził jednocześnie, żeby się więcej w firmie nie pokazywał.

- Skąd ta decyzja? Skawiński rozłożył ręce.

- Nie mam pojęcia, o co im poszło. Wiem, że Józwiński zwolnił uprzednio mojego dyrektora, a po przyjeździe szefa dyrektor został, a Józwiński odszedł. Ale myślę, że o przyczynach tej decyzji Józwiński wie najwięcej...

Korcz próbował skomunikować się z inżynierem. Bezskutecznie.

Telefon w jego mieszkaniu nie odpowiadał. Okazało się, że kabel na tej linii był uszkodzony. Wybrał się więc pod podany mu w firmie adres.

Józwiński mieszkał z żoną i synem. Zajmował na pierwszym piętrze przy ulicy generała Zajączka

czteropokojowy lokal. Korcz nie zastał go w domu.

Wyjechał w sobotę. Powiedział, że wróci za jakieś dziesięć dni - wyjaśniła żona, przystojna, postawna brunetka.

Muszę się z nim pilnie skontaktować. Czy mogłaby mi pani podać jego adres?

Mąż nigdy mi nie mówi, dokąd jedzie. Nie ma potrzeby. A wyjeżdża często. Załatwia interesy firmy. Wiem, że bywa wówczas w różnych miejscowościach. Pewnie teraz jest podobnie.

W firmie wiedzą, gdzie i po co pojechał.

Zrozumiał, że ona nic nie wie o nagłym zwolnieniu. Zapewne mąż nie wtajemniczał

jej w firmowe sprawy i interesy. Właśnie zamierzał się pożegnać, gdy do pokoju wtargnął młody człowiek.

Nadmiernie rozszerzone źrenice, nieprzytomny wyraz twarzy, chwiejny krok.

Wystarczyło jedno spojrzenie. Naćpany.

Matka otoczyła go ramieniem i wprowadziła do drugiego pokoju.

Wróciła po chwili z oczyma pełnymi łez.

- Przepraszam. Ale sam pan widział - rzuciła łamiącym się głosem. - Niestety.

- Od jak dawna to trwa? - spytał.

- Od dwóch lat. Próbowałam wszystkiego. Umieściłam go w szpitalu na odwyku.

Uciekł. Załatwiłam skierowanie do prywatnego, zamkniętego zakładu. Wrócił po dwóch miesiącach.

Powiedzieli mi: wyleczony. A potem po paru tygodniach znów się zaczęło. Koledzy go wciągnęli. Teraz, jak dawniej, wynosi wszystko z domu. Na kompot trzeba pieniędzy -

dorzuciła wyjaśniająco.

- A co na to pani mąż?

- Nie ma czasu na zajmowanie się synem. Jest tylko wściekły, bo to kłopot. Ale tak naprawdę to tylko mój „kłopot”. On musi mieć spokój, bo robi interesy. Myśli tylko o pieniądzach - dodała z gryzącą ironią. - Jakby pieniądze mogły wszystko załatwić...

- Uważa pani, że nie załatwiają? - pyta przekornie.

- Sporo. Można dobrze zapłacić, żeby się znalazło miejsce na odwyku. Żeby lekarz był na każde

zawołanie. Ale tylko tyle.

Chłopcu, który ma osiemnaście lat, potrzebny jest ojciec. A on nie ma dla niego czasu.

Teraz znów sobie pojechał...

Rozmowę z Józwińskim trzeba było odłożyć. Czekać do jego powrotu. Na razie zbierali informacje o nim i innych pracownikach firmy.

Z tym przeszukaniem apartamentu Engberga też trochę się przeciągnęło. Najpierw musiał uzyskać zgodę naczelnika, później zapytać konsula szwedzkiego, czy zechce wziąć udział w tej czynności, wreszcie, kiedy ten odmówił, a formalności stało się zadość, mógł

wybrać się z ekipą, by dokonać oględzin. Właśnie je kończyli. Została jeszcze szafa.

Otwiera szafę w ścianie. Dwa ubrania. Jedno czarne, wizytowe, drugie ciemnobrązowe. Z boku na sznurku kilka krawatów. Na dole cztery pary obuwia, kolorem dopasowanego do ubrań. Na bocznej półeczce kilka koszul, każda w oddzielnym plastikowym futerale. Chusteczki do nosa.

Zabiera się do przeglądania garniturów. W czarnym, wizytowym, nie ma nic, oprócz chusteczki w kieszonce. W wewnętrznej kieszeni ciemnobrązowego wyczuwa twardą okładkę. Sięga i po chwili trzyma w ręku niewielki notes. Otwiera, rzuca okiem. To, czego szukał. Nazwiska, adresy, telefony. Nareszcie jakiś konkret.

Notes i mandat chowa do teczki. Jeszcze rozmowa z pokojową.

Naciska dzwonek przy drzwiach.

Kiedy ostatni raz sprzątała pani ten pokój? pyta młodą dziewczynę.

Dziś rano. Sprzątamy pokoje każdego dnia.

Patrzy na niego ze zdziwieniem. - Starłam pyły i odkurzyłam dywany. Pościeli nie zmieniałam.

Która z was miała dyżur z soboty na niedzielę?

Koleżanka, Barbara Sobczak. Ja byłam na dyżurze od niedzieli.

Czy w niedzielę rano zmieniała pani pościel w tym apartamencie?

Zaraz sprawdzę - mówi. - Notujemy numery pokoi, z których się zabiera brudną bieliznę. - Znika na chwilę i wraca.

- Nie, proszę pana, nic tu nie było zmieniane.

- Czy pościel zmieniacie codziennie?

Takie mamy polecenie. Nasi zagraniczni goście muszą mieć co dzień świeżą.

Skoro pani nie zmieniała pościeli, to znaczy, że gość tu nie nocował?

Tak.

Dziękuję.

Korcz schodzi do recepcji. Mam szczęście, myśli, gdy się okazuje, że siedząca tam młoda dziewczyna pełniła dyżur z soboty na niedzielę.

Mogłaby mi pani powiedzieć, czy podczas pani dyżuru klucz od apartamentu pięćset dwadzieścia jeden był w recepcji?

Apartament zajmował szwedzki obywatel, Peter Engberg.

Znam pana Engberga. To nasz stały gość. Zawsze zatrzymuje się w tym apartamencie.

- Płaci dewizami?

Oczywiście. Stać go na to. To bogaty człowiek. Czasem przyjeżdża z żoną i córką.

Nie zauważyła pani, czy z soboty na niedzielę nocował u siebie?

Nie. Klucz był prawie cały czas na dole. Zostawił go idąc na kolację, potem koło północy poszedł do siebie, ale zaraz zszedł z powrotem i oddał klucz. Gdzieś się jeszcze wybierał. Ostrzegałam go, żeby był ostrożny. U nas o tej porze nie bywa bezpiecznie.

Zwłaszcza w Śródmieściu. Roześmiał się tylko, podziękował za radę i wyszedł. Gdy rano schodziłam z dyżuru, jeszcze go nie było. Czy coś się stało? - Miał wypadek.

ROZDZIAŁ V

Helen Engberg, przystojna, elegancka pani w średnim wieku, jest nad podziw spokojna. Ledwie rzuciła okiem na zwłoki.

Tak. To mój mąż. Po załatwieniu wszystkich formalności zabieram ciało do Sztokholmu. Mam nadzieję, że nie będzie kłopotów z uzyskaniem zezwolenia na przewiezienie zwłok?

Nie widzę przeszkód.

Korcz, który jej towarzyszył do kostnicy, był przygotowany na łzy, rozpacz, szok.

Opanowanie i spokój Engbergowej wprawiają go w zdumienie.

- Dziwi się pan zapewne, że nie robię scen, nie gram roli zrozpaczonej żony - mówi, dostrzegłszy jego zdziwioną minę.

- W ciągu ostatnich lat byliśmy małżeństwem tylko formalnie.

Ze względu na córkę. Peter miał swoje interesy w Sztokholmie i w Polsce, ja zajmowałam się działalnością charytatywną i malarstwem.

Oprócz pieniędzy niewiele mieliśmy wspólnego. A że pieniędzy nigdy nam nie brakowało, Peter miał głowę do interesów, nie było powodów do nieporozumień. Dbał o dom, o reprezentację, właśnie ze względu na interesy.

- Nie orientuje się pani, jaki mógłby być motyw tego zabójstwa? O co tu mogło chodzić? Kto był zainteresowany?

Kobieta bezradnie rozkłada ręce.

- Nie mam pojęcia. Na pewno niejednemu zalał sadła za skórę.

W sprawach, w których chodziło o interesy, był bezwzględny.

Ludzi traktował w zależności od ich pozycji. Tych, którzy się nie liczyli, nie zauważał.

Przyszedł kiedyś do mnie dawny pracownik mego ojca, mąż objął po ojcu naszą firmę -

wtrąciła - ze skargą, że Peter wyrzucił go po trzydziestu latach pracy w firmie, bo chory.

Zwróciłam się do męża w tej sprawie. Powiedział mi, że firma to nie instytucja charytatywna.

Że jak chcę, mogę się nim zająć. W ramach mojej dobroczynnej działalności, prowadzonej za pieniądze, które on zarabia. Pomogłam wówczas staremu.

Dysponuję przecież połową dochodów z firmy. Więcej jednak na ten temat z mężem nie rozmawiałam. Nie sądzę więc, żeby podwładni go kochali.

- Czy orientuje się pani w jego działalności w Polsce?

- Nie. Wiem tylko tyle, że dobrze tu ulokował część naszych kapitałów. Parę razy podkreślał, że ten biznes jest nader opłacalny.

Tak było rzeczywiście, sądząc po wpłatach na moje osobiste konto.

Mąż pani był z pochodzenia Polakiem. W jaki sposób znalazł się w Szwecji?

Przyjechał do Sztokholmu wkrótce po zakończeniu wojny. Jego matka leżała w naszym szpitalu. Przewieziono ją z obozu w Ravens-briick. Matka zmarła, a on został.

Podobało mu się u nas.

Najpierw, jak kiedyś opowiadał, pracował dorywczo, później zatrudnił go mój ojciec w naszej

firmie budowlanej. Okazało się, że ma głowę do interesów, że jest zdolny.

Awansował. Ojciec bardzo go chwalił i kiedyś mi go przedstawił. Tak poznaliśmy się.

W parę lat później wyszłam za niego za mąż. Zmienił nazwisko, dostał obywatelstwo szwedzkie. Ojciec traktował go jak syna, o którym zawsze marzył. Chciał mieć spadkobiercę, który tę naszą firmę, przez ojca stworzoną, rozwinie i poprowadzi. I faktycznie doprowadził

ją do rozkwitu. Ojciec umierał spokojny o mój los i o los firmy. Marzył jeszcze o wnuku, a że byliśmy młodzi, sądził, że i to jego pragnienie się spełni. Na razie rozpieszczał wnuczkę.

Mąż też. Ona często bywa w Polsce.

- Czy mąż miał jakąś rodzinę w kraju?

- Cioteczną siostrę. Mieszka gdzieś pod Warszawą. Mówił mi, że od czasu do czasu ją odwiedza. Ponieważ jednak specjalnie się nią nie chwalił, przypuszczam, że w jego polskich układach ona się nie liczy.

Nazywa się Szostak, Szostek. Jakoś tak.

Nazwisko kojarzy się Korczowi z zapiskiem w notesie Engberga.

Tylko że tam figuruje adres w Łęczycy. Ale dla Engbergowej Łęczycą może być podwarszawska miejscowość. Jest jeszcze warszawski telefon jakiegoś Szostka. Kto to taki?

-? Czy jego cioteczna siostra jest mężatką? - Słyszałam, że owdowiała. Ma dorosłego syna.

Może to on, myśli, postanawiając, że ten kontakt sprawdzi w pierwszej kolejności. W pierwszej, bo nazwisk i telefonów w notesie jest wiele. Są także inicjały i cyfry. Czyje?

Liczył, że Engbergowa pomoże mu rozszyfrować ludzi i sprawy. I nic z tego nie wyszło.

Podobnie jak w innych punktach.

Naczelnik przywiązywał dużą wagę do przeprowadzenia rozpoznania w kampinoskich wioskach. On sam, Korcz, nie bardzo wierzył w skuteczność tych działań. Ale może rzeczywiście ktoś mieszkający w rejonie puszczy zauważył wóz, może dojrzał i kierowcę?

Jeśli facet wjeżdżał drogą od strony Palmir, a świadczyło o tym miejsce znalezienia zwłok i ów skrawek ujawnionej nitki, mógł go ktoś zauważyć. Była niedziela.

Czas zabaw, odwiedzin.

Rozpoznanie mieli przeprowadzić dwaj przydzieleni do grupy operacyjnej funkcjonariusze przy pomocy ludzi z miejscowego posterunku.

Ustaliliście coś istotnego? - spytał, gdy zameldowali się po powrocie.

Niewiele. - Zaprzyjaźniony z Korczem sierżant Snopek rozsiadł się wygodnie i wyciągnął z kieszeni notes. - Najpierw przepytawaliśmy we wsi Palmiry. U nich w niedzielę była zabawa, więc bez przerwy ktoś wychodził na dwór. A szosa biegnie przez wieś. Jeden z rolników mówił, że zauważył zielony wóz. Mignął mu na drodze prowadzącej na cmentarz.

Dziwił się, kto o tej porze, po ciemku, jedzie w tamtym kierunku. Pomyślał, że może facet ma zamiar odwiedzić kogoś z miejscowych, ale wóz nie zatrzymał się w wiosce. Pojechał dalej.

- Dotarliście do innych wsi?

- Jasne. Mówili, że o tej porze w las zapuszczają się tylko kłusownicy albo ci, którym drzewo na opał jest potrzebne. I jedni, i drudzy nie przyznają się. Pozostali gadać nie chcą.

„Nie wiem”, „nie widziałem”. I tyle.

- Krewa?

- No, nie całkiem. W jednej z wiosek facet, „głupi” na niego mówią, wyszedł z chaty, jak usłyszał warkot motoru. Zeznał, że błysnęło coś w lesie. Jak reflektory. Błysnęło i zgasło.

Był ciekaw, kto o tak późnej porze po lesie jeździ, ale bał się sprawdzić. Różni o tej porze się włóczą. Można oberwać.

- Masz nazwiska tych dwóch?

- Pewnie. Tylko co z tego? Więcej nie powiedzą. Jednak to, co powiedzieli, potwierdza twoją hipotezę, że ktoś przywiózł do lasu zwłoki wozem denata.

Tylko tyle z tego wynika, myśli Korcz, odwożąc Helen Engberg do „Forum”. Martwy punkt?

ROZDZIAŁ VI

Stojąca w drzwiach dziewczyna jest urzekająco piękna. Regularne rysy, duże piwne oczy w ciemnej oprawie długich rzęs, jedwabiste, spadające na ramiona jasnobłond włosy, i te proporcje ciała. Jej uroda aż dech zapiera.

- Pani Elżbieta Jankowska? - bąka Korcz, nie odrywając od niej wzroku.

Zachwyty malujący się w oczach przystojnego oficera sprawia dziewczynie wyraźną przyjemność. Z twarzą rozjaśnioną uśmiechem zaprasza nieoczekiwanego gościa do pokoju.

Pokój jest duży, urządzonej nowocześnie. Cepeliowskie stoły, ławy, krzesła.

- Rozumiem, że przyszedł pan w sprawie zabójstwa Engberga - Jankowska zagaja rozmowę.

Skąd pani wie o śmierci Engberga? - odpowiada pytaniem na pytanie.

Zawiadomiła mnie jego sekretarka, Zosia Malikówna. Uważała widać, że powinnam o tym wiedzieć. Napije się pan kawy? Mam ekspres węgierski. Kawę też wspaniała. Przywiózł

mi ją ze Szwecji Peter. To nie nasz „Selekt”.

Nie odmówię. - Korcz siedzi na twardej cepeliowskiej ławie przy niskim stoliku i ciekawie rozgląda się po pokoju.

Podoba się panu? To mieszkanie kupił mi Peter i urządził według mego gustu. Często tu nocował, więc zostały jego rzeczy. Nocne pantofle, piżama, parę koszul, szlafrok.

Korcz jest trochę zaskoczony swobodą, z jaką dziewczyna wyjaśnia sytuację. W

gruncie rzeczy jest zadowolony. Nie będzie musiał wyciągać jej na słówka, przewycięzać udawanej wstydlivosti.

Po informacji sekretarki była pani przygotowana na wizytę milicji? - pyta.

Wiedziałam, że to mnie nie minie. Bogiem a prawdą do czego się tu przygotowujemy?

Przyjeżdżał do Polski w interesach, bywał u mnie, nocował od czasu do czasu. Dawał na utrzymanie domu. I tyle.

Dlaczego dokonała pani takiego wyboru? To był niemłody już mężczyzna, a pani... -

zawiesza głos.

- Sprawa jest prosta - mówi spokojnie dziewczyna. - Był moją życiową szansą. Jestem sierotą, wychowałam się w trudnych warunkach, żeby nie powiedzieć w biedzie. Z trudem skończyłam liceum. Co dalej? Nie mam żadnego zawodu. Mogę pracować w pocztowym okienku lub w kancelarii jakiejś instytucji.

Możliwości awansu zerowe. A ja miałam dosyć biedy, brudnych pomieszczeń, wiecznego braku pieniędzy. Jestem młoda, niebrzydka - uśmiecha się do Korcza - chciałam mieć coś z życia.

- I ma pani coś z życia? Patrzy na niego zdziwiona.

- Jasne. Mogę się ubrać i zabawić. Mogę pójść gdzie chcę i z kim chcę. Engberg stale w kraju nie siedział i w niczym mnie nie krępował.

- Kiedy go pani poznała?

-? Dwa lata temu. Przyjechał do Polski organizować tę firmę.

Mieszkał w „Forum”. Któregoś wieczoru byłam w hotelowej restauracji. Zaprosił

mnie na kolację Józwiński, z którym wówczas byłam związana - dorzucą wyjaśniająco. -

Engberg siedział przy sąsiednim stoliku. Panowie dobrze się znali, więc Peter przeniósł się do nas. Od razu wiedziałam, że mu się - podobam. Był miły, elegancki, nadziany. Skorzystałam z okazji.

Gdy Wojciech na chwilę odszedł od stolika, Peter zaproponował mi spobkanie.

Zaprosił mnie na lunch następnego dnia. Tak to się zaczęło.

- Ale przecież on miał żonę i córkę!

Młody jeszcze, a taki staroświecki. Co mi to przeszkadzało?

Wydawać się za niego nie miałam zamiaru. Chciałam się tylko urządzić.

Pani jest bardzo szczerą - mówi Korcz; w głosie jakby lekka przygana.

A pan by wolał, żebym owijała w bawełnę? Udawała nieutuloną w żalu wdowę albo nieszczęsną, uwiedzioną i porzuconą na pastwę losu dziewczynę? Nie te czasy. Może się pan i zgorszy, bp to z milicjantami różnie bywa. Niektórzy patrzą na życie tak, jakby byli w zakonie.

Peszy go trochę ta szczerść. Zmienia temat.

Czy Engberg po ostatnim przyjeździe do Polski był u pani?

Naturalnie. Przyszedł w środę wieczorem. Poszliśmy razem na kolację, a noc ze środy na czwartek spędził u mnie. Z czwartku na piątek też. Wyszedł gdzieś o drugiej w nocy.

Wiem, że zamierzał wrócić do „Forum”, bo rano czekał na telefon od żony. Pytałam, czy będzie u mnie w sobotę. Liczyłam, że wyskoczmy razem za miasto. Odmówił. Powiedział, że w sobotę i niedzielę ma kilka ważnych spraw do załatwienia. Co zamierza robić, nie pytałam.

Nigdy mi się nie zwierzał.

- Czy Engberg podczas tych wizyt zachowywał się normalnie, nie robił wrażenia niespokojnego, zdenerwowanego?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Nic takiego nie zauważyłam. Wydawało mi się raczej, że jest zaabsorbowany jakąś związaną z firmą sprawą. Był tak zamyślony, że aż dwa razy musiałam powtarzać, że mi się skończyły pieniądze.

- I zostawił je pani?

- Tak, głupie sto tysięcy. Obiecał, że da mi więcej w poniedziałek, bo w piątek pełnomocnik miał być w banku.

- Ile pani obiecał, jeśli można spytać? Korcz odkrył w notatniku Engberga notkę:

„E-I”. Czyżby to była wpłata dla Jankowskiej? Jej odpowiedź umożliwiała rozszyfrowanie tego i podobnych zapisków.

- Prosiłam go o milion. Chciałam kupić „malucha” i futro. Już dawno obiecał sfinansować te zakupy.

A więc cyfry oznaczają kwoty wypłacane poszczególnym ludziom. W milionach złotych. Ciekawe, ile pieniędzy podjął dla niego pełnomocnik, skoro milion obiecał

dziewczynie, notuje w pamięci. Do wyjaśnienia z pełnomocnikiem, a później z dyrektorem.

Jakie były stosunki między Engbergiem a Józwińskim. Może ona się orientuje?

- Skąd pani zna inżyniera Józwińskiego? - pyta.

- To stare dzieje. Mój ojciec razem z nim pracował. Chociaż w tym „razem” jest pewna przesada. Ojciec był woźnym w instytucji, którą Józwiński kierował. Mieszkaliśmy wtedy we Wrocławiu. Później Józwińskiego przeniesiono do Warszawy na wyższe stanowisko, a my zostaliśmy na miejscu. Ojciec przeszedł na rentę inwalidzką. Nie starczało na utrzymanie, więc matka dorabiała praniem. Chodziłam do szkoły w połatanych sukienkach. Często byłam głodna. Potem matka wpadła pod samochód, a ojciec zapił się na śmierć. Zostałam sama.

Przypadkiem spotkałam Józwińskiego. Przyjechał do Wrocławia obsłużyć jakiś zjazd.

Zaczepiłam go, przypomniałam ojca. Niby pytał o tatę, ale tak naprawdę to ja go interesowałam. Obiecał pomóc. Zapisał adres. Minęło parę miesięcy, myślałam, że nic z tej pomocy nie będzie, ale okazało się, że nie zapomniał.

Dostałam od niego kartkę. Pisał, że mi załatwił pracę. Miałam zgłosić się u dyrektora Kicińskiego w warszawskiej „Unitrze”.

Pożyczyłam pieniądze i pojechałam. Wszystko było załatwione.

Dostałam pracę i zaliczkę na pierwsze potrzeby. Dyrektor ulokował mnie w hotelu robotniczym. Potem zjawił się Józwiński.

Dał mi do zrozumienia, że nic nie ma za darmo, a ja mu się podobam. Józwiński był wówczas bonzą w aparacie związkowym.

Przez niego otrzymałam przydział kawalerki, pomógł mi kupić meble na raty. Tak zaczynałam nowe życie.

- Józwiński zamierzał ożenić się z panią? Dziewczyna wybucha śmiechem.

- Ale pan naiwny! O małżeństwie nie było mowy. Od razu mi powiedział, że zależy mu na nieskazitelnym opinii, więc nie może się afiszować taką znajomością. Ma żonę i syna, a poza tym zależy mu na karierze. A jego karierą, powiedział, powinnam być również zainteresowana. Im lepiej się urządzi, tym więcej pieniędzy będę miała na ciuchy i inne wydatki. Pracowałam więc w „Unitrze”, awansowałam na referenta. Nie bardzo sobie radziłam, ale dyrektor patrzył przez palce na moją robotę.

Zależało mu na Józwińskim. A ten obiecał mi lepszą pracę.

- A jak Józwiński trafił do prywatnej firmy?

- Ach, to cała historia! W osiemdziesiątym pierwszym roku wyleciał z dotychczasowego stanowiska. Uważał, że to prawie koniec świata. Był załamany, roztrzęsiony, mówił, że teraz nic nie może dla mnie zrobić, bo układy się zmieniły. Po jakimś czasie humor mu się poprawił. Coś widać kombinował. Potem się dowiedziałam, że w tym okresie spiknął się z Engbergiem. Mnie powiedział tylko, że się urządza na nowo, że ma nowe układy. I pewnie w ramach tych układów - w głosie dziewczyny leciutka ironia -

odstąpił mnie Engbergowi.

Od razu się usunął, kiedy się zorientował, że tamten się na mnie napalił. Uważał, że tak będzie lepiej. Dla nas obojga. Dla mnie, bo facet mnie zabezpieczy, dla niego, bo będę mogła mu pomóc.

Szepnąć Engbergowi, kiedy trzeba, to i owo. I tak to było. Teraz dopiero mam kłopoty. Engberg nie żyje, Wojciech się nie odzywa.

Józwiński, to go interesowało. Chyba nawiąże z nią kontakt?

- Józwiński nie pokazywał się u pani w ciągu ostatnich dni? - pyta.

- Nie.

Podobno wyjechał. Chciałbym z nim porozmawiać. Jak można się z nim skontaktować?

Może jest w Magdalence. Oni mają tam daczę.

ROZDZIAŁ VII

Dacza Józwińskich, otoczona siatką i gęstym żywopłotem, w niczym nie przypomina domku weekendowego. Jest to piętrowa willa z podpartym kolumnkami gankiem, oplecionym uschniętym już teraz winem. Korcz patrzy na nią od strony furtki.

Zamknięte na głuche okiennice i wisząca przy drzwiach wejściowych kłódka świadczą wymownie o nieobecności właścicieli.

Korcz-wstępuje do sąsiadów. Dziesięcioletni: chłopczyk, bawiący się z psem w ogrodzie, prowadzi go do mamusi.

Szukam pana Józwińskiego. Przyjechałem z daleka. Jego żona mówiła, że go tu zastanę, a tymczasem widzę, że w willi nie ma żywego ducha. Czy pani czasem nie wie, co się z nim dzieje? - zagaja.

Oni już w końcu września przenieśli się do Warszawy - oświadcza młoda, elegancka pani, witając gościa. - Pan Wojciech tu jeszcze czasem wpada na dzień lub dwa odetchnąć świeżym powietrzem, odpocząć po robocie.

- Kiedy ostatnio go pani widziała?

- Był tu w niedzielę, trzeciego października. Przyjechał z samego rana. Koło południa wpadł do nas. Wydał mi się wtedy jakiś nieswój. Spytałam go, czy się źle czuje, ale odburknął coś niewyraźnie, a potem zaczął narzekać na niedotlenienie, bóle głowy, kłopoty biurowe. Został u nas na obiedzie, ale zaraz po kawie wrócił do siebie. Mówił, że idzie się położyć, a potem wybierze się na dłuższy spacer. Wieczorem Słyszałam trzaśnięcie furtki.

Widać wyszedł.

- O której wrócił?

- Nie wiem. Nie wiem, czy w ogóle wrócił. Byli u nas znajomi, oglądaliśmy program telewizyjny. Mogłam nie usłyszeć.

Ale chyba wyjechał tego samego dnia. Potem, jak wypuszczałam psa, nie widziałam światła w jego domu.

Pani Józwińska mówiła mi, że wyjechał wozem.

Trudno tu dostać się inaczej. Przed domem nie było samochodu, ale pewnie postawił go w garażu. Na tyłach willi, jak u nas.

- Może nocował u znajomych?

- Wszyscy już wyjechali. Jesteśmy ostatni, ale i my zaczynamy się już pakować. Więc chyba szkoda pańskiego czasu na poszukiwania w Magdalence. Na pewno wrócił do Warszawy albo pojechał w teren. Często tak robi. Radzę na jego powrót poczekać w Warszawie.

Korcz wychodzi. Ma ochotę zajrzeć do garażu, ale wie, że nie uda mu się sforsować ogrodzenia nie zwracając uwagi sąsiadów.

Zrobi to później funkcjonariusz z miejscowego posterunku, postanawia, rezygnując z pomysłu.

Józwiński wyjechał z Warszawy w sobotę. W niedzielę rano przyjechał do Magdalenki i wieczorem gdzieś wyszedł. Tego wieczoru zginął Engberg. Czy te fakty, medytuje, idąc na przystanek autobusowy, mają jakiś związek? Engberg usunął Józwińskiego.

Mianował nowego pełnomocnika. Dlaczego tak błyskawicznie? Coś się stało, coś się musiało stać.

Byli przecież zaprzyjaźnieni. Stracił do niego zaufanie? Ale dlaczego wybrał

Skawińskiego, a nie na przykład dyrektora, który trzyma w ręku wszystkie firmowe nici?

Dyrektor Stanisław Zimiński. Z zebranych przez grupę operacyjną informacji wynikało, że Zimiński ma za sobą dziesięcioletni staż dyrektorowania w różnych centralach handlu zagranicznego.

Drugie tyle spędził na placówkach jako attache handlowy. Mógł zostać wiceprezesem Izby Handlu Zagranicznego. Odmówił.

Wybrał „Activ”.

- Człowiek o wygórowanych ambicjach - powiedział o nim Skawiński.

Dlaczego więc zrezygnował z kariery? Stanowisko w „Activie” nie dawało takich możliwości. Pieniądze? Czyżby facet po tylu latach pracy za granicą nie uskładał sobie wystarczającego kapitału, nawet na kryzysowe warunki? Korcz wiedział, że Zimiński oprócz willi na Żoliborzu ma dachę w Konstancinie.

Sama jej lokalizacja świadczy o ustabilizowanej pozycji w dygnitarskim świecie, nie mówiąc już o stronie finansowej. Jakim zatem motywem się kierował?

Korcz liczy, że rozmowa z dyrektorem pozwoli znaleźć odpowiedź przynajmniej na niektóre pytania.

Zimiński, wysoki, postawny mężczyzna dobiegający sześćdziesiątki, ubrany z nie rzucającą się w oczy elegancją, przyjmuje go natychmiast.

- Proszę, niech pan siada. Nie mogę panu zbyt wiele czasu poświęcić, wobec tego przejdźmy od razu do rzeczy. Sądzę, że sprowadza pana do mnie nagła śmierć właściciela firmy.

- Tak. Chciałbym uzyskać kilka informacji.

Proszę, słucham - ton głosu oschły, rzeczowy.

Czy pan nie wie, jak można się skomunikować z inżynierem Józwińskim?

Nie wiem i nie rozumiem, dlaczego zwraca się pan do mnie z takim pytaniem. Pan Józwiński nie pracuje u nas od połowy ubiegłego tygodnia. Nie ma zatem powodu, żebym się nim i jego nieobecnością interesował.

Pracował tu parę lat. Można domniemywać, że łączyły panów przynajmniej koleżeńskie stosunki...

Nie przyszedł pan chyba rozmawiać o tego rodzaju domniemaniach. Mówiłem już panu, że mój czas jest cenny i niewiele go mogę panu poświęcić. - W głosie ostry ton.

Moje pytanie ma związek ze śmiercią właściciela firmy. Dlaczego pan Engberg tak nagle zrezygnował z usług Józwińskiego?

Nie orientuje się pan zapewne, że w prywatnej firmie właściciel może w każdej chwili zwolnić człowieka, który mu z jakichś względów nie odpowiada. I nie musi się z tego nikomu tłumaczyć.

Widać uznał, że Skawiński jako pełnomocnik będzie lepszy.

- Czy rzeczywiście jest lepszy?

- Nie przyszedł pan chyba dyskutować ze mną o kwalifikacjach naszych pracowników i przyczynach decyzji nieżyjącego już właściciela?

- Prowadzimy śledztwo. I do nas należy ocena, co ma związek z tym zabójstwem. -

Korcz mówi to stanowczo, zdecydowanie.

- Pan w gruncie rzeczy zawiaduje całą firmą. Nie sędzę zatem, aby pan o czymś nie wiedział. Jest pan zobowiązany do złożenia wyjaśnień i udzielenia wyczerpujących odpowiedzi na zadawane pytania. Chodzi o zbrodnię.

Tamten jakby się zreflektował.

Niestety, nic nie wiem o tej sprawie. Nie wiem też nic o okolicznościach mających związek ze śmiercią pana Engberga.

Wiem jedno, że nie ja go zabiłem. Sam jestem poszkodowany. Nie wiadomo, co będzie z firmą, w której pracuję...

Z kim kontaktował się denat po przyjeździe do Polski? Czy jego przyjazd miał związek z jakimś nagłym wydarzeniem?

Nie. Zazwyczaj bywał w Polsce raz w miesiącu, czasem raz na dwa miesiące.

Kontrolował naszą działalność, podejmował zyski, przeprowadzał rozmowy z naszymi kontrahentami, podpisywał niektóre umowy. Tym razem, jak zwykle, zapowiedział swój przyjazd telefonicznie. Inżynier Józwiński wyjechał po niego na lotnisko i odstawił go do hotelu. A my czekaliśmy w biurze na dyspozycje szefa. Miałem dla niego przygotowaną informację o zakończeniu robót dla Urzędu Miasta. Odbiór miał nastąpić w czwartek. On przyjechał w środę. Był przy tym odbiorze, potem przejrzał zamówienia i zdecydował, które z nich i w jakiej kolejności będziemy realizować. Chciał, żeby go umówić z niektórymi zleceniodawcami. Spotkania te zorganizowałem w „Forum” w czwartek i piątek wieczorem.

Byłem podczas tych rozmów obecny. Musieliśmy dogadać niektóre organizacyjne szczegóły.

- Kiedy ostatni raz widział pan Engberga?

W piątek wieczorem. Właśnie w „Forum”. Pożegnałem się z nim około dwudziestej trzeciej. Umówiliśmy się na dziesiątą w poniedziałek. W biurze. Nie zjawił się.

Czy nie mówił panu, jakie ma plany na sobotnio-niedzielny weekend?

Nie miał zwyczaju nikomu z nas opowiadać o swoich sprawach.

Czy coś jeszcze pana interesuje?

Kiedy panowie się poznali? Czy jeszcze przed powstaniem firmy?

Poznaliśmy się w siedemdziesiątym dziewiątym roku. Byłem wówczas służbowo w Szwecji. Z ramienia centrali handlu zagranicznego załatwiałem transakcję importową niezbędnych do nowych technologii komponentów. Mój kontrahent zaprosił mnie na lunch.

Na tym lunchu był także obecny pan Engberg. Już 6 - Saldo moTtalc wówczas interesowały go możliwości handlu z Polską.

Dlaczego nie chce mówić o przyczynach-konfliktu między właścicielem a jego byłym pełnomocnikiem, zastanawia się Korcz po powrocie do urzędu.

ROZDZIAŁ VIII

Panna Zosia Malik, pełniąca w firmie funkcję sekretarki, miłym uśmiechem wita przystojnego oficera. A już rozpromienia się całkiem, gdy Korcz, całując ją w rękę, wręcza bukiet kwiatów.

- Jak to miło z pańskiej strony... - mówi. - Ja tak lubię kwiaty.

Niestety, przyszedł pan na próżno. Nie zastał pan ani inżyniera Skawińskiego, ani dyrektora.

Korcz sam wybrał taką porę. Wiedział, że Skawińskiego na tę właśnie godzinę wezwał Urząd Skarbowy - po śmierci właściciela trzeba było ustalić należności wobec Skarbu Państwa, a więc zablokować konta i spisać majątek firmy. Skawiński posiedzi tam co najmniej parę godzin. Wiedział też, że nie zastanie dyrektora. Podczas wczorajszej rozmowy słyszał, jak Zimiński umawiał się z kimś telefonicznie właśnie na dziesiątą.

Tak więc miał przed sobą kilka spokojnych godzin na rozmowę z panną Zosią.

Sekretarka zwykle jest zorientowana nie tylko w sprawach firmy, ale i firmowych stosunkach, zna plotki. Liczył, że się rozgada. Przyszedł więc z kwiatkami, udał zmartwionego nieobecnością szefów i, spytawszy, czy może tutaj na nich poczekać, rozsiadł się w sekretariacie.

Zaczął od trochę niezgrabnych komplementów. Nie miał zbyt wiele doświadczenia w postępowaniu z takimi dziewczynami, ale widać wypadło nie najgorzej, skoro pannę Zosię ujęły jego uprzejmości.

- Jak pan widzi, daję sobie radę sama - wyjaśniła w odpowiedzi na pytanie, dlaczego w sekretariacie nie zatrudniono więcej osób. - Roboty dużo, trzeba pamiętać o wszystkich terminach, znać obowiązujące zarządzenia, wiedzieć do kogo interesantów kierować, często załatwić sprawy samodzielnie.

Słowem, zastępuję firmowy komputer - roześmiała się dźwięcznie.

- Opłaci się pani ta harówka?

Pewnie. Inaczej by mnie tu nie było. Skończyłam prawo, zrobiłam sędziowską aplikację i zrezygnowałam z tego wszystkiego.

Nie szkoda pani zawodu? Miałyby pani szansę wybicia się. Przy pani inteligencji... < Dziewczyna wybucha śmiechem:

- Jest pan bardzo miły. Tylko że podczas aplikacji zarabiałam około dwunastu tysięcy.

Po jej skończeniu zarabiałabym nieco więcej. Ale czy dużo więcej? Jest kryzys, złotówka spada, więc z trudem wiązałam koniec z końcem. Mieszkanie, nieosiągalna perspektywa, ubrać się, nie byłoby za co, nie mówiąc o rozrywkach. Moi koledzy z roku biedują. Tu zarabiam czterdzieści tysięcy miesięcznie plus premie.

- Bez trudu dostała pani tę posadę?

- Z ulicy, wiadomo, nie biorą. Polecił mnie tutejszy radca prawny, kolega mego ojca.

On sam zrezygnował ze stanowiska dyrektora departamentu prawnego w resorcie budownictwa i przyjął radcostwo tutaj. Jemu też się opłaciło.

-? Nie żałuje pani wyboru?

-? Jak dotąd, nie mam powodu. Stać mnie na wynajęcie wygodnej kawalerki z umeblowaniem. W dobrym punkcie miasta.

Stać mnie na ciuchy. Mam do dyspozycji jeden z firmowych samochodów. Czy byłoby to możliwe, gdybym poszła do sądownictwa? Ile lat pracuje pan w tak zwanych organach ścigania?

- Czternaście.

- Czego się pan dorobił? Mieszkania, samochodu?

Westchnął. Mieszkanie, faktycznie, nieosiągalna perspektywa.

Pierwszeństwo mieli zawsze żonaci, dzieciaci. A i ci czekali na klucze do własnego lokum parę ładnych lat. Co miał powiedzieć on, kawaler. Mieszkał więc w pokoiku na peryferiach, traktując go wyłącznie jako sypialnię. Wychodził wcześniej rano i późno zazwyczaj wracał. Wóz? Również nieosiągalne marzenie.

Nie dorobiłem się - mruknął w odpowiedzi. - Ale lubię swoją pracę. Daje mi satysfakcję.

Satysfakcja to dla mnie za mało. Za tę harówkę mam coś z życia.

Wszystkim się to opłaca. I specjalistom, i robotnikom. Dlatego dbają o robotę. Nie trzeba ich poganiać. Nawalą, to ich szef czy pełnomocnik wyrzuci. Skończy się Kanada.

- Dlatego wyleciał Józtyński?

- On wyleciał, bo się przeliczył z siłami. Na kilka dni przed przyjazdem właściciela zwolnił dyrektora Zimińskiego.

Słyszałam) że chciał na jego miejsce wprowadzić kogoś innego, swojego. Dogadywali się od dawna z głównym księgowym i radcą prawnym.

- O co im chodziło? Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Jak to o co? O pieniądze. Przy „swoim” dyrektorze mogliby zarobić więcej.

Korzystniej się rozliczać, wybierać kontrahentów, funkcjonować przynajmniej w części poza plecami właściciela.

Przyjeżdża ra? na jakiś czas i na ogół akceptuje posunięcia pełnomocnika.

- Zaakceptował i tym razem?

- W pierwszej chwili. Józtyński pojechał po niego na lotnisko i pewnie mu po drodze wszystko wytłumaczył. Przedstawił sprawę w odpowiednim świetle.

Potem, gdy pan Engberg przyjechał do biura, widziałam, że byli w dobrej komitywie.

Bomba pękła dopiero po rozmowie z dyrektorem Zimińskim. Rozmawiali parę godzin.

Kłócili się.

Słyszałam podniesione głosy. Koniec końców dogadali się, bo pan Engberg kazał mi podać do gabinetu kawę i koniak, a potem wycofać wymówienie dla Zimińskiego. Po wyjściu dyrektora wezwał Józtyńskiego. Drzwi były uchylone, więc słyszałam rozmowę. Powiedział

- Józtyńskiemu, że go wprowadził w błąd.

Że od dziś odbiera mu pełnomocnictwo i ma natychmiast odejść z firmy. Dostanie pensję za rok z góry, ale ma się więcej tu nie pokazywać. Józtyński protestował, tłumaczył, że to nieporozumienie, że dyrektor go oczernił. Engberg przerwał mu w pół słowa i wyprosił

z pokoju. Tak się skończyło.

- Nie wie pani, dlaczego dyrektor okazał się mocniejszy w tej rozgrywce?

Nie. Nie było o tym mowy.

Wdzięła się pani później z Józwińskim?

- Tak. W piątek zadzwoniłam do niego do domu i poinformowałam, że szef kazał

przekazać mu pieniądze. Spytałam też, czy mamy je wysłać na adres domowy. Prosił, abym przyniosła je do kawiarni. Zawiozłam więc te półtora miliona do „Roksany” i tam, po dokładnym przeliczeniu, wręczył mi pokwitowanie.

Mówił coś na temat tego nagłego zwolnienia?

Pienił się, odgrażał Engbergowi. Oświadczył, że mu jeszcze pokaże, co to znaczy z nim, z Józwińskim, zadzierać. Że ma Engberga w ręku.

- Na czym to „trzymanie w ręku” polega? -? Nie powiedział, a ja nie pytałam. Po co miałam się wplątywać w ich sprawy? Wolę jak najmniej wiedzieć.

Zależy mi na robocie.

Józwiński miał motyw, myśli Korcz, słuchając wynurzeń dziewczyny. Mógł mieć też okazję. Znał zwyczaje Engberga, wiedział, gdzie mieszka, jakim wozem jeździ, z kim sypia, z kim jest powiązany. Mógł go spotkać bez trudu, dowiedziawszy się od Jankowskiej, na kiedy się do niej zapowiedział. Jankowska nie orientowała się przecież w aktualnym układzie Engberg-Józwiński. Tyle że Jankowska, jeśli nie kłamie, widziała go po raz ostatni w piątek rano. Engberg został zamordowany w niedzielę.

Nie wiedziała o jego śmierci. Zawiadomiła ją Mali-kówna. Skąd się znały?

- Zna pani flamę pana Engberga, Elżbietę Jankowską? - pyta.

-? Tak. Poznałam ją przypadkowo. Któregoś dnia zadzwonił do mnie do biura Józwiński, prosząc, żeby mu natychmiast przywieźć do restauracji w „Grand Hotelu” umowę do podpisu, a później odwiedzić ją jednemu z naszych kontrahentów. Zrobiłam, jak kazał.

Siedział w restauracji razem z panią Jankowską. Tak ją poznałam.

Z tego wniosek, że utrzymywał z nią stałe kontakty?

Tego nie wiem, słyszałam tylko, że znali się od dawna. Zwracała się do niego po imieniu. Nawet się zdziwiłam, bo mówiono, że to przyjaciółka pana Engberga.

- Spotykały się panie i później?

- Nie. Parę razy rozmawiałam z nią telefonicznie, łącząc z panem Engbergiem. Raz zostawiła swój telefon z prośbą, żebym ją połączyła, jak przyjdzie. Zapisałam jej telefon w terminarzu.

Pani ją zawiadomiła o śmierci Engberga?

Tak. Sądziłam, że powinna o tym wiedzieć.

- Po nagłym zwolnieniu nie słyszała pani więcej o inżynierze Józwińskim? Nikt się z nim nie kontaktował, nikt o nim nie wspominał?

Wymowne wzruszenie ramion.

- Tu wszystkim zależy na robocie. A skoro popadł w niełaskę, któż chciałby narazić się właścicielowi, utrzymując z nim stosunki? Zresztą nie był lubiany. Parę osób wyrzucił z dnia na dzień. Jedyne powód, że mu się narazili. Mieli inne niż on zdanie w sprawach firmy.

Kogo usunął?

Do niedawna pracował kierownik grupy produkcyjnej inżynier Iwanicki. Złoty chłop.

Dobry fachowiec i dobry kolega. Józwiński go nie lubił. Nie kłaniał się dość nisko i miał własne zdanie.

Pokłócili się o jakiś drobiazg. W parę dni później Józwiński zwolnił go z pracy.

Podobna historia zdarzyła się z majstrem, Sułkiem. Podpadł mu i natychmiast został zwolniony. Ludzie bali się Józwińskiego. Prócz tych, z którymi łączyły go układy. Tylko oni go żałują.

- Czy w firmie żałują Engberga?

- Żałują, to źle powiedziane. Boją się o pracę. Nie wiadomo, czy po jego śmierci firma nie zostanie zlikwidowana. Czy spadkobiercy będą chcieli prowadzić ją dalej?

Korcz patrzy na zegarek. Zaczyna mu się spieszyć. Trzeba koniecznie odszukać Józwińskiego, postanawia.

ROZDZIAŁ IX

Kwadratowe podwórko-studnia stołecznego urzędu. Obok zielonego volvo na niebieskich tablicach rejestracyjnych karetką z Zakładu Medycyny Sądowej i grupa funkcjonariuszy.

Dzielnicowy, młody człowiek w milicyjnym mundurze, relacjonuje Korczowi okoliczności związane ze swoim odkryciem:

- Przyszedł do mnie dozorca dwóch bloków przy Alejach Jerozolimskich, tych położonych na tyłach „Forum”, z pytaniem, co robić, bo mieszkańcy alarmują, że jakiś zaparkowany na ich podwórku samochód strasznie śmierdzi. Poszedłem sprawdzić.

Faktycznie, na osiedlowym parkingu stało zielone volvo na niebieskich tablicach.

Odkąd Aleje Jerozolimskie na tym odcinku zostały zamknięte dla ruchu, a Nowogrodzka stała się centralną arterią, często ludzie spoza osiedla stawiają tam wozy. Nikt się temu nie dziwi i nikt się nimi nie interesuje. Ten też mógłby stać długo, gdyby tak nie śmierdział. Zajrzałem do zapisków w notesie. Porównałem numer tablicy rejestracyjnej z numerami poszukiwanych samochodów. Zgadzało się. To był ten szukany od kilku dni wóz.

Nie wypytałeś mieszkańców, jak długo ten samochód parkował na osiedlu?

Pytałem. Nie zdołałem jednak ustalić. To przelotowe podwórko.

Parkują mieszkańcy i każdy z nich pilnuje swego samochodu.

Nikt nie zwraca uwagi na obce wozy, dopóki go nie zastawią. Ten stał na uboczu i gdyby nie ten zapaszek... - dzielnicowy krzywi się wymownie.

Porozmawiaj jeszcze z mieszkańcami, może ktoś widział kierowcę.

-? Mogę pogadać, ale słaba nadzieja - mruczy dzielnicowy, który to i sąsiednie podwórka zna jak własną kieszeń. - Może któryś z pijaczków albo dzieciaki? - zastanawia się głośno. - Ten, kto tam zostawił samochód, musiał dobrze znać teren i podwórkowe zwyczaje.

Porę też wybrał odpowiednią.

Pewnie ma rację, ocenia Korcz. Kierowca, który wstawił tam wóz Engberga, musiał

być dobrze zorientowany w terenie. Ale czy ten kierowca to sprawca zabójstwa Engberga?

Wysoce prawdopodobne. I czy tylko Engberga zabił? Skąd ten drugi trup?

W firmie „Activ” nikt więcej nie zaginał.

- Zwłoki są w stanie daleko posuniętego rozkładu - stwierdza po oględzinach milicyjny lekarz. - Facet nie żyje co najmniej od tygodnia. Przyczyną śmierci był strzał w tył

głowy. Z tyłu jest kanał wlotowy, wylotowego nie widzę, pocisk prawdopodobnie tkwi jeszcze w czaszce. Szczegóły po sekcji.

Fachowcy z Wydziału Kryminalistyki dokonujący oględzin wozu właśnie przypatrują się znalezionej w bagażniku broni.

To zabytkowy pistolet - zwraca się któryś do Korcza, demonstrując mu dziewiętnastowieczny okaz. - Że też to jeszcze strzela!? A strzela. Są osmalimy w lufie.

Trzeba sprawdzić w Zakładzie Kryminalistyki, czy pistolet figuruje w naszych rejestrach. Linii papilarnych nie odkryliście?

- Korcz zwraca trzymany przez chusteczkę pistolet ekspertom.

- Nie. To zresztą oczywiste. Skoro sprawca został w samochodzie broń, to starł z niej uprzednio odciski palców. O daktyloskopii i jej możliwościach identyfikacyjnych wiedzą nawet dzieci.

- Ujawniliście w wozie ślady krwi?

Nie. Zabieramy pokrowce do szczegółowych badań.

Zabezpieczyliśmy mikroślady z bagażnika.

Może materiałem porównawczym okażą się mikroślady z ubrania Engberga. Jeśli go przewożono tym wozem...

Myślę o materiale porównawczym z ubrania sprawcy - rzuca któryś z ekspertów.

I on o tym myśli. Ale, jak dotąd, nie wie nic. Poza tym że jest nowy trup i nowe kłopoty z identyfikacją. Znowu denat bez dokumentów. Żadnych punktów zaczepienia, umożliwiających wstępne określenie kręgu podejrzanych. Prawda, jest Józwiński. I nikt więcej. Ludzie, których Józwiński zwolnił z pracy, mogli mieć do niego pretensje. Do Engberga na pewno nie mieli żalu.

Dla firmy i zatrudnianych w niej ludzi śmierć Engberga mogła oznaczać utratę pracy.

I to świetnej pracy. Zarabiali w „Activie” po 50, a nawet po 100 tysięcy złotych miesięcznie, nie licząc nagród i premii wypłacanych poza listą. Nawet jeśli gryźli się między sobą, jeśli chcieli mieć swojego człowieka na stanowisku dyrektora, a dyrektor zapewne też przepychał

swoich ludzi, choćby Skawińskiego, owe wewnętrzne rozgrywki nie mają nic wspólnego z zabójstwem Engberga. Nikt z nich nie mógł zyskać na śmierci właściciela. Motyw, jak dotąd, ma tylko Józwiński, więc on albo przypadkowi bandyci. Skoro jednak odnaleziono wóz, a w nim zwłoki, przypadkowi bandyci odpadają. Sprawcą musi być ktoś, kto znał Engberga, mógł

do niego podejść niepostrzeżenie. I znał teren. Może to ktoś mieszkający w pobliżu miejsca znalezienia wozu? A teraz to nowe zabójstwo. Kim jest denat? A jeśli to Józwiński, przychodzi mu do głowy. Józwiński, który zniknął jak kamfora, którego nikt nie poszukuje.

Nikt poza nim, Korczem. Żona jest pewna, że wyjechał w sprawach firmy, a w pracy, skoro został z niej zwolniony, nikogo nie interesuje, gdzie jest i co robi. Facet znaleziony w bagażniku zielonego volvo zginął mniej więcej w tym samym okresie co Engberg. Między tymi dwoma zabójstwami jest jakiś związek. Bo skąd by się wzięły zwłoki w wozie Engberga?! A jeśli to Józwiński, chodzi mu po głowie. Mój jedyny podejrzany. Ale miałbym niefart!

Ściągać Józwińską na identyfikację? Może niepotrzebnie narażę ją na szok. Dać komunikat do prasy? Jeszcze nie, decyduje.

Muszą mieć jego zdjęcia i szczegółowe dane w biurze dowodów osobistych i w biurze paszportowym. W biurze dowodów osobistych na prośbę o błyskawiczne odszukanie zdjęcia słyszy pytanie o dane personalne. Uprzytamnia sobie, że właściwie nie wie o Józwińskim nic, poza imieniem i nazwiskiem. Nie zna nawet roku urodzenia.

Czekam na te dane - niecierpliwi się jego rozmówczyń. - Józwińskich mamy' kilku.

Niech pani wyszuka wszystkich o tym imieniu i nazwisku.

W biurze paszportowym działają sprawniej. Wprawdzie wydawano paszporty ludziom tego imienia i nazwiska, ale tylko jeden wyjeżdżał do Szwecji z ramienia firmy „Activ”.

Po godzinie ma już zdjęcie w rękę. Mimo zmienionej przez rozkład twarzy, jest już niemal pewien. To Józwiński. Ale dlaczego w samochodzie Engberga? Gdzie jest jego samochód?

Przecież wyjechał z Warszawy wozem. W niedzielę był w Magdalence. Posterunek miał sprawdzić garaż na działce. Czy sprawdzili?

Łączy się z komendantem. Wóz stoi w garażu.

Jako ostatni widział Engberga Skawiński. W piątek w nocy. Nie, jako ostatnia widziała go chyba siostra w Łęczycy. Mandat z tej trasy nosi datę 3 października.

Józwińskiego widzieli 3 października, w niedzielę, jego sąsiedzi w Magdalence.

Wyszedł z willi wieczorem. Wyglądało na to, że udał się na przechadzkę. Z protokołów sekcji zwłok wynika, że obaj zginęli mniej więcej w tym samym czasie. Sami się nie pozabijali, bo ktoś wywiózł do Puszczy Kampinoskiej zwłoki Engberga, a ciało Józwińskiego wpakował do bagażnika. Ten sam sprawca w obu wypadkach? Nie, bo inny sposób zabójstwa. Jeden został

uderzony z tyłu narzędziem tępokrawędziastym, drugi zabity strzałem w tył głowy.

Właściwie, medytuje, taka sama metoda, tylko inne narzędzie zbrodni. Ale komu mogło zależeć na śmierci właściciela firmy i skłóconego z nim byłego pełnomocnika? Sprawca musiał znać dobrze obydwu. I oni musieli go znać. Obaj spotkali się u mordercy? W niedzielę wieczór? Przypadek? Czy byli umówieni? Podejrzanego trzeba szukać w tym środowisku.

Kto z tego środowiska jest posiadaczem zabytkowej broni? Jaki może być motyw tych dwóch zabójstw? Mnożą się pytania, pytania bez odpowiedzi.

ROZDZIAŁ X

Janusz Szostek zajmuje dwupokojowe mieszkanie w Alejach Jerozolimskich, w pobliżu „Forum”. W dużych, jasnych pokojach króluje Cepelia. Ławy, stoły, zydle, barek z napitkami, szafy i szafki, rozwieszane na ścianach makaty i makatki, leżące na podłodze dywaniki, wszy stko jest rodem stamtąd. Urządzenie - szczyt mody panującej w latach siedemdziesiątych w niektórych środowiskach.

Sam gospodarz, dwudziestosiedmioletni mężczyzna, przyjmuje gościa w wiśniowej bonzur-ce.

- Nie idzie pan do pracy? - pyta Korcz. - Zwolnił się pan ze względu na moją wizytę?

- Ależ nie. Nie muszę się nigdzie spieszyć - wyjaśnia młody człowiek, sadzając gościa na twardym

zydłu przysunięty do niskiego stoliczka z przygotowanym śniadaniem na dwie osoby.

- Asystent w prywatnej firmie, to facet do specjalnych poruczeń.

Jeśli nie ma nic pilnego, mogę urzędować w domu pod telefonem.

Wystarczy. Zjedźmy razem śniadanie - proponuje.

Korcza jest głodny. Jego lodówka od paru dni stoi pusta. Nie miał czasu na zakupy, ostatnio zapomniał nawet o chlebie. Teraz na widok apetycznie wyglądających platów szynki, suchej kiełbasy i bułeczek ślina nabiega do ust.

- Skąd pan bierze takie znakomite pieczywo? - pyta pałaszując.

-? Dozorczyńni mi przynosi. Z prywatnej piekarni. W tych uspołecznionych, wbrew zapowiedziom byłego ministra, chrupiące bułeczki jeszcze się nie pojawiły. Dozorczyńni przygotowuje mi śniadanie, obiady jadam na mieście, a kolacje czasem w domu, czasem u znajomych.

To kosztowny tryb życia - stwierdza Korcz.

Wuj mnie urządził w swojej firmie po to, abym mógł sobie pozwolić na takie życie. A propos, pana do mnie sprowadza sprawa śmierci wuja? Czy już wiadomo, kto go tak załatwił?

Na razie śledztwo trwa. Chciałbym wiedzieć, kiedy pan go widział po raz ostatni?

W sobotę. Mniej więcej o tej porze. Wpadł do mnie na pogawędkę. Jestem jego najbliższym krewnym. Moja matka to jego cioteczna siostra. Od chwili gdy się urządził, gdy wzenił się w firmę budowlaną w Sztokholmie, stale matce pomagał.

Przysyłał jej paczki, wpłacał pieniądze na konto. To ona go prosiła, żeby mnie jakoś ustawił. Byłem już po studiach ekonomicznych, pracowałem w „Unitrze” za dwanaście tysięcy złotych, gdy wuj dwa lata temu ulokował mnie w „Activie”.

Oficjalnie miałem zbierać informacje o naszych kontrahentach-zle-ceniodawcach, a tak naprawdę to wuj życzył sobie, żebym miał oko na wszystko, co się w firmie dzieje. Na wszystko i na wszystkich. Nikt w firmie nie wiedział o naszym pokrewieństwie.

Teraz po przyjeździe mianował mnie swoim asystentem, abym miał większe niż dotąd możliwości wglądu we wszystkie sprawy i sprawki.

Dlaczego wuj tak nagle zmienił pełnomocnika?

- Pełnomocnik w „Activie”, jak i w innych tego rodzaju firmach, ma prawo dysponowania kontem, na którym gromadzi się zyski. W jego rękę skupiają się także decyzje kadrowe.

Józwiński, zaraz po przyjeździe wuja, podjął z konta zysków czterdzieści milionów złotych. Ponoć dla wuja. Ale jemu wypłacił tylko część. Z reszty się nie rozliczył. Jednak nie o to poszło.

Zwolnił dyrektora Zimińskiego a ten zwrócił się do wuja ze skargą. Nie wiem, jakie miał argumenty, ale Józwiński odszedł, a dyrektor został.

- O co chodziło Józwińskiemu?

- O wpływy w firmie. Spiknął się z głównym księgowym i radcą prawnym. Radca był

jego kumplem. Ściągnął go z resortu budownictwa. Chcieli mieć swojego człowieka na stanowisku dyrektora.

- I kto miał zająć miejsce Zimińskiego?

- Kolega Józwińskiego, Adam Zieliński z rady nadzorczej, emerytowany dygnitarz z resortu budownictwa. Wuj dowiedział się ode mnie o tych kombinacjach w środę wieczorem.

W czwartek rozmawiał z dyrektorem. W piątek Skawiński otrzymał notarialne pełnomocnictwo, a ja awansowałem na asystenta. Wuj mi mówił, że z dyrektora nie mógł

zrezygnować ze względu na jego znajomości i możliwości.

Kiedy o tym była mowa?

W sobotę rano.

Czy podczas tej rozmowy pan Engberg robił wrażenie zdenerwowanego? Może się czegoś czy kogoś obawiał? Nie liczył się z tym, że Józwiński może mu zaszkodzić w realizacji dalszych planów?

Józwińskiego nie potrzebował się obawiać. Miał go w ręku.

- Na czym to polegało?

Wiedział o jakichś lewych interesach i dysponował dokumentami, które go mogły skompromitować. O co chodziło, tego mi nie powiedział. On nikomu nie ufał. Ale sądzę, że raczej obawiałby się konfliktu z dyrektorem Zimińskim ze względu na jego koneksje i interesy firmy.

Czy pański wuj w sobotę rano miał przy sobie grubszą gotówkę?

Zawsze miał przy sobie dużo pieniędzy.

Czy panu coś zostawił? Szostek krzywi się.

Niewiele, parę złotych.

Około pół miliona - strzela Korcz, niemal pewien, że zapisek w notatniku Engberga:

„S-500” 2 X, odnosi się właśnie do Szostka.

No tak - przyznaje niechętnie indagowany. - Miałem różne wydatki.

Korcz zmienia temat. O Szostku, o innych pracownikach firmy i jej kontrahentach jego ludzie zbierają informacje. Wkrótce będzie wiedział, na co młody człowiek potrzebował

pieniędzy. Teraz interesował go inny aspekt sprawy.

Czy wuj umawiał się z panem na spotkanie w następnym tygodniu?

Tak. Obiecał wpaść do mnie przed wyjazdem do Szwecji. Nie życzył sobie, żebym przychodził do niego do „Forum”. Nie chciał, żeby nas razem widywano.

Co pan robił w niedzielę? Szostek uśmiecha się.

Chodzi o moje alibi? Jestem podejrzany?

Sprawdzam wszystkich. Prowadzę śledztwo w sprawie o zabójstwo.

Spałem w domu do obiadu. Obiad przyniosła mi dozorczyń.

Może to potwierdzić. Wieczorem i w nocy była u mnie dziewczyna. Wystarczy?

Nie. Imię i nazwisko dziewczyny?

Muszę?

- Musi pan. Pan mógłby mieć motyw. Pańska matka w jakiejś części dziedziczy po wuju - mówi na chybił trafił, bo w końcu nie jest pewny, jak sprawa wygląda z tym dziedziczeniem.

Engberg miał przecież żonę i córkę.

Zofia Malik.

Malikówna, ta sekretarka pańskiego wuja?

Tak. Nie chciałbym jednak, żeby to się rozniosło.

Nie rozniesie się. To informacja dla potrzeb śledztwa.

Żegna się z gospodarzem i z najbliższego automatu dzwoni do firmy „Activ”.

- Chciałem mówić z panią Zofią Malik.

Przy aparacie - odzywa się melodyjny głos sekretarki.

Mówi porucznik Korcz. Proszę mi powiedzieć, gdzie pani była w niedzielę wieczorem? - rzuca bez dłuższych wstępów.

A cóż to pana obchodzi? - głos twardnieje.

Prowadzę śledztwo w sprawie o zabójstwo. Ma pani obowiązek odpowiedzieć na moje pytanie. Za fałszywe zeznania, jak pani wie, grozi kara...

Dziewczyna milczy.

- Przepraszam. Mam drugi telefon - informuje po chwili.

Korcz słyszy jej głos. „Tak to ja. Tak. Dobrze. Powiem”. Jest niemal pewien, że to dzwoni Szostek.

- Byłam u znajomego. Nazywa się Janusz Szostek. Pracownik firmy. Mieszka w Alejach Jerozolimskich - wyjaśnia dziewczyna.

- Dziękuję - odkłada słuchawkę.

Zdażył ją uprzedzić. Więc nie ma alibi. Trzeba będzie sprawdzić i ją, i jego, postanawia jadąc do Urzędu Skarbowego. Chce przejrzeć wyciągi z konta firmy oraz spis ruchomości.

Z konta zysków - notuje - w ciągu krytycznego tygodnia dokonano dwóch wypłat. 40

milionów złotych pobrał inżynier Józwiński, 60 milionów nowy pełnomocnik, Skawiński.

Równie rewelacyjny jest spis ruchomości zabezpieczonych na ewentualne pokrycie należności Skarbu Państwa. Wśród nich są dwa podręczne komputerki, ekspres do kawy, osiem samochodów, w tym sześć osobowych różnych zachodnich marek, oraz dwie ciężarówki.

To wszystko? - Korcz jest zdumiony. - A maszyny drogowe, budowlane, materiały?

Były wydzierzawiane z firm uspołecznionych. Materiały budowlane pochodzą również z tych firm. Były sprzedawane po cenie kosztu.

Kto dawał zgodę na takie umowy?

Sprawdzamy. Przeprowadzamy kontrolę.

A może w tych kombinacjach należałoby szukać motywów obu zabójstw, zastanawia się Korcz.

ROZDZIAŁ XI

- Schodziliśmy ze zdjęciem Józwińskiego w rękę wzdłuż i wszerz całą Magdalenkę.

Wypytywaliśmy miejscowych, czy nie widzieli go w niedzielę wieczorem. Zgodnie z rozkazem sprawdzaliśmy także w barach, restauracjach, w pobliskim zajeździe. Bez rezultatu

- melduje Korczowi plutonowy z posterunku w Nadarzynie.

Trzeba sprawdzić, czy wszystkie dacje były puste tamtej niedzieli - poleca Korcz. -

Rozpłynąć się nie mógł.

Tak jest. - Trzaska obcasami plutonowy odmeldowując się.

Trzeba będzie dać komunikat do prasy i telewizji. Może znajdzie się jakiś świadek, układa plany dalszych czynności, wracając do przeszukiwanego właśnie przez ekipę pokoju w willi Józwińskich w Magdalence. Jak dotąd zebrali tylko odciski linii papilarnych.

Niewiele tego było, a i tak zapewne okaże się, że są to ślady palców denata i jego rodziny. Józwińska przecież twierdzi, że wszystko jest tak, jak było przed ich wyjazdem. Że nikt tu nie buszował.

Przechodzą z pokoju do pokoju. Jest ich sześć. Wszystkie urządzone „na wysoki połysk”. Mahoniowe meble, marmurowy kominek, skóry na podłodze. Na ścianach łby dzików, rogi jelenie, cała galeria portretów.

Przodkowie z „Desy” - mruczy któryś z członków ekipy, patrząc na malowanych olejno panów w surdutach i panie w turniurach.

- Popatrz - zwraca się do Korcza. - Jest tu obraz Witkacego.

Parę milionów musiał facet za niego wybulić. Witkacy jest teraz w cenie - dorzuca.

Ciszej - mityguje go Korcz. - Po co Józwińska ma słyszeć te genialne uwagi? Nie widzisz, w jakim jest stanie?

Józwińska robi wrażenie półprzytomnej. Od chwili gdy w kostnicy zidentyfikowała zwłoki męża, przeżyła szok tak gwałtowny, że trzeba ją było zawieźć do pogotowia.

„Niezbędny jest spokój, żadnych rozmów”, zalecił lekarz. Za to rozgadał się jej syn.

- Matka zapewne poinformowała pana - powiedział Korczowi - że ja nic, tylko ćpam i wszystko z domu wynoszę.

To prawda, tylko nie dodała chyba, że to ich zasługa. Bo co to za dom?! Ojciec, który ma w głowie tylko robienie pieniędzy. I robi je, to fakt. Nigdy mi też grosza nie żałował.

Miałem wszystko, czego zażądałem. Przyzwyczailem się do tego. Kiedyś koledzy wyciągnęli mnie na ubaw. Mieli LSD. I tak się zaczęło...

- A pana matka? Wzruszenie ramion.

Matka ma swoich znajomych. Podłapała znacznie od niej młodszego faceta. Sprawami ojca nigdy się nie interesowała. Od czasu do czasu urządzała przyjęcia dla jego znajomych.

Żyli obok siebie jak dwoje obcych ludzi. A ja w środku. Nikomu właściwie niepotrzebny.

Wspólne jest tylko mieszkanie i dacza.

Czy ojciec przed wyjazdem był zdenerwowany?

Powiedział, że jedzie w interesach. Wydał mi się jakiś nieswój.

Jakby stracił charakterystyczną dla niego pewność siebie. Ale mogę się mylić. Matka powiedziała mu, że skończyły się pieniądze. Chciała, żeby zostawił większą sumę. Wtedy otworzył neseser. Były tam tylko pięciotysięczne banknoty. Zostawił jej paręset tysięcy. Mnie dał sto tysięcy na kupno magnetowidu.

Trafiła mi się wyjątkowa okazja.

-? Nie zdziwiło pana, że ojciec brał w drogę taką gotówkę?

Zawsze tak robił?

Zwykle dawał nam czeki. Nie nosił przy sobie większych sum, choć zawsze nimi dysponował. Jeszcze zanim zaczął pracować w prywatnej firmie, powodziło się nam nie najgorzej. Ojciec kiedyś mi powiedział: „Jak się ma odpowiednie układy, to zawsze można się urządzać”. On je miał. A ja miałem z tego tylko pieniądze, chociaż wolałbym normalny dom. - W głosie chłopaka długo tłumiona gorycz. - A potem pretensje, że ćpam.

Matka próbowała przecież wyleczyć pana z nałogu.

Znów wzruszenie ramion.

- Za późno przypomniała sobie, że ma syna. Teraz płacze nade mną i nad sobą. Ma kłopot...

Szkoda chłopaka, myśli Korcz wspominając tamtą rozmowę.

- Proszę pani, chcemy przejść do garażu. Pójdzie pani z nami?

- zwraca się do Józwiń-skiej.

Kobieta siedzi w fotelu przy lekko uchylonym oknie.

- Nie, nie pójdę - ciaśniej otula się szalem. - Może tam gdzieś jego krew... Boże, jak on potwornie wyglądał! Co noc trapią mnie koszmary. Idźcie, panowie, sami. Sądzicie, że tam go zabili ci bandyci?

- Jacy bandyci? - pyta Korcz.

To musieli być bandyci. Miał tyle pieniędzy przy sobie. Po co pojechał do Magdalenki? O tej porze tu nie ma nikogo. Mogli na niego napaść, obrabować.

Nie podejrzewa pani nikogo? Może to ktoś, z kim państwo utrzymywali kontakt?

Może chciał się zemścić?

Kobieta patrzy na niego ze zdumieniem.

- To sami kulturalni ludzie! Bywali u nas jego koledzy ze związków, później z firmy.

Raz w miesiącu przychodził na drinka dyrektor „Activu”, Stanisław Zimiński, z żoną i radca prawny, pan Mirosław Najda. Z Najdą znali się od lat, jeszcze ze związkowych czasów. Mąż ściągnął go do „Activu” z resortu budownictwa, gdzie był dyrektorem Biura Prawnego.

Przychodzili także Adam Zieliński i Wacław Antczak. Byli z moim mężem zaprzyjaźnieni.

- A któryś z kolegów czy znajomych syna?

Przyjmował, kogo chciał. Zawsze oddzielnie. Oni się z nami nie kontaktowali. Sądzi pan, że któryś z nich mógłby?

Narkomani są ludźmi ciągle potrzebującymi pieniędzy i bywają agresywni, zwłaszcza po zażyciu niektórych narkotyków. Więc...

- zawiesza głos.

Tak naprawdę nie podejrzewa nikogo z tej grupy. Któż z nich mógłby mieć dostęp do Józwińskiego i do Engberga jednocześnie.

Byłoby to bardziej prawdopodobne, gdyby chodziło tylko o Józwińskiego. Mogli wiedzieć od jego syna, że ma masę pieniędzy, i znać adres daczy. Ale Józwiński cały i zdrowy opuścił willę. Nic tu nie zostało ruszone. I skąd by wzięli zabytkową broń? Mogli ukraść, odpowiada sam sobie. Tak, broń mogła być ukradziona. Pistolet, ustalili w pracowni broni Zakładu Kryminalistyki, był zarejestrowany na nazwisko nieżyjącego już kapitana milicji. Jego żona, pani dobrze po siedemdziesiątce, nie wiedziała co się z tą bronią stało.

Może dał ją komuś w prezencie, sugerowała. A może wziął ją syn? Przesłuchał tego syna. On też nie miał pojęcia, gdzie się pistolet zapodział. Nie było go w rzeczach ojca, oświadczył. Za jego życia wisiał na ścianie razem z przywiezionym z wojny bagnetem. Potem zniknął.

Myślę, że ojciec komuś go podarował. Ale komu, tego nie potrafi powiedzieć.

Tak więc sprawa pistoletu nie została wyjaśniona. Żeby zresztą tylko ona... Wciąż brakowało punktu zaczepienia, umożliwiającego choćby zakreślenie kręgu ewentualnych podejrzanych. Szostek? Mieszka w pobliżu „Forum”, zna podwórkowe obyczaje. Nie ma alibi. Czy jednak zabijałby kurą znoszącą złote jaja? To samo dotyczyło innych pracowników firmy. Może ja się nie nadaję do prowadzenia tej sprawy, gryzł się w duchu.

Wstępna hipoteza o zabójstwie na tle rabunkowym rozsypała się po odkryciu zwłok Józwińskiego w bagażniku firmowego volvo.

Ten fakt i modus operandi zdecydowały o połączeniu obu spraw.

Zabójstw musiał dokonać ktoś dobrze ofiarom znany. Ktoś, kto bez wzbudzenia podejrzeń mógł się do każdego z nich zbliżyć, by zadać cios lub strzelić w tył głowy. Sytuację komplikowała dodatkowa okoliczność, że obaj zginęli jednego dnia, mniej więcej o tej samej porze. Godziny zgonu - jak wynikało z protokołu sekcji zwłok Józwińskiego - też się niemal nakładały.

- Odtworzysz ich kontakty w ostatnich dwóch, trzech dniach, godzina po godzinie -

poleciał naczelnik po wysłuchaniu relacji Korcza dotyczącej ostatnich ustaleń.

Jeśli chodzi o Engberga prześledził jego kontakty od chwili przyjazdu, ale ma ciągle kilkugodzinne

luki. Nie wiadomo, co robił i z kim się widział w sobotę 2 października, po wyjściu od Szostka do chwili, gdy około dwudziestej spotkał się ze Skawińskim na kolacji w

„Forum”. Później około północy gdzieś wyszedł i nie wiadomo, co robił do rana.

Wyjazd do Łęczycy, pobyt u siostry i wyjazd z Łęczycy około piętnastej - to było w krytyczną niedzielę. Od tego wyjazdu do chwili zgonu - znów luka.

O Józwińskim nie wiedzą nic od momentu, gdy tej samej, krytycznej niedzieli opuścił

swoją willę. Powędrował do kogoś mieszkającego w pobliżu? Znajomych tu chyba nie miał, podobnie zresztą jak inni właściciele daczy. Zresztą dacje w Magdalence stały już puste.

Chyba że ktoś przyjechał na weekend albo kilkugodzinny pobyt. Mógł się także z kimś w Magdalence umówić, a do miasta zabrał się przygodnym samochodem. A jeśli przyjąć, że umówił się z Engbergiem? Engberg powiedział siostrze, że się spieszy, bo ma spotkać się z kimś o siedemnastej.

Jeśli tym kimś był Józwiński? Przez długie lata się przyjaźnili i nawet poważny konflikt nie musiał przekreślić tej przyjaźni. Na to właśnie mógł liczyć Józwiński, umawiając się z Engbergiem na rozmowę. Albo inaczej. Być może wiedział, z kim Engberg umówił się o tej porze, i wybrał się, żeby korzystając z okazji dogadać się z byłym szefem. I zabił ich ten trzeci? Gdyby nawet, to w jaki sposób zwłoki Józwińskiego znalazłyby się w bagażniku zielonego volvo? A może to Józwiński zabił Engberga i pojechał wieczorem do puszczy, żeby tam pozbyć się ciała? A kiedy zakopywał zwłoki, jakiś bandzior strzelił mu w tył głowy i obrabował z pieniędzy? Obaj, Engberg i Józwiński, mieli przy sobie miliony złotych. Co stało się z tymi* pieniędzmi?

Z rozmyślań wyrzywa go głos technika z ekipy.

- Andrzej, znalazłem kartkę w wozie!

Bierze do ręki niewielką karteczkę. Znajduje się na niej pokwitowanie Engberga z odbioru 20 milionów złotych. Na dopiętym szpilką karteluszką inicjały i cyfry: „S-3” 29IX,

„K-4”

30IX, „M-5” bez daty, „Z-5” i „A” także bez daty. Wszystko bez pokwitowań.

Wyplaty łapówek?!

ROZDZIAŁ XII

Korcz wpada do panny Zosi.

Znów chciałbym panią pomęczyć, bo pani najlepiej orientuje się w sprawach firmy -

bierze ją pod włos, chcąc zatuszować nietakt, jakim było pytanie o alibi Szostka.

Czym mogę panu służyć? - Ton jest oficjalny.

Czy zechciałaby pani zorientować mnie w kontaktach Engberga i Józwińskiego? O ile wiem, panowie ci utrzymywali ze sobą dość zażyłe stosunki.

Tak. Inżynier Józwiński był prawą ręką szefa. Praktycznie to on decydował o sprawach firmy. Nie zdarzyło się, by pan Engberg kiedykolwiek odwoływał jego decyzje.

Sprawa zwolnienia dyrektora to był wyjątkowy przypadek. Ale to straszne, że jeden i drugi zginął.

- Jak pani sądzi, jest pani przecież prawniczką, jaki motyw mógł mieć sprawca tych zabójstw?

Panna Zosia zastanawia się chwilę.

Nie pojmuję - mówi wreszcie. - Gdyby chodziło tylko o Engberga, można by powiedzieć, że motyw miał inżynier Józwiński. Chęć zemsty. Sama słyszałam, jak się odgrażał w tej kawiarni, kiedy mu zaniósłam pieniądze. W takim stanie człowiek może być zdolny... - urywa. - Ale obaj w tym samym czasie?

Nic nie rozumiem.

Ja też - uśmiecha się Korcz. - Właśnie dlatego pytam, kto mógł mieć do nich obydwu na tyle poważne pretensje, żeby się na taki krok zdecydować?

Nie mam pojęcia - mówi panna Zosia z rozbijającą szczerością.

- Z punktu widzenia interesów firmy i nas wszystkich zabójstwo pana Engberga jest katastrofą. Grozi nam likwidacja firmy. Już wkroczył Urząd Skarbowy i zabezpiecza mienie.

Z tego punktu widzenia zabójstwo inżyniera Józwińskiego jest sprawą bez znaczenia. On i tak został wyeliminowany. Mógłby się wprawdzie mścić, ujawniając różne boczne interesy i interesiki, ale biłby wówczas i w samego siebie, bo we wszystkich maczał palce.

- A jakie to były interesy i interesiki?

- Nie wiem. Nikt mnie nie wtajemniczał - dziewczyna wycofuje się. - Czy w takiej firmie można wszystko zrobić legalnie?

Korcz nie chce jej ciągnąć za język. Ten wątek to sprawa dla Biura Walki z Przestępczością Gospodarczą. Zresztą i tak Urząd Skarbowy ich rozliczy.

Pani pewnie uważa - zmienia temat - że z punktu widzenia waszych interesów, jako całości, należałoby eliminować jako potencjalnych sprawców zabójstw pracowników firmy?

Oczywiście. Nie sądzi pan, że każde z tych zabójstw mogło być dokonane przez różnych sprawców, nie mających ze sobą nic wspólnego? Że mogło być też dziełem przypadku?

Korcz nie wdaje się w dalszą dyskusję. Nie ma powodu, żeby ją informować o okolicznościach znalezienia zwłok Józwińskiego, wyjaśniać, że czysty przypadek nie wchodzi tu w rachubę, że obie sprawy się łączą.

Engberg po raz pierwszy został ukarany mandatem za nadmierną prędkość w drodze do Łęczycy. To było oczywiste, wynikało z zeznań jego siostry. Ale w zielonym volvo znaleźli drugi mandat.

Za dwa tysiące złotych. Znow za nadmierną prędkość. Mandat wystawił patrol drogowki koło Błonia. Przez Błonie można jechać do Puszczy Kampinoskiej, pomyślał.

O której to było godzinie? - spytał ściągniętego z terenu funkcjonariusza, który bez trudu przypomniał sobie charakterystyczny, bo nie często spotykany w Polsce, samochód na rejestracji zagranicznego przedsiębiorstwa.

O ile dobrze pamiętam koło dwudziestej pierwszej.

- W jakich okolicznościach?

- Zatrzymałem go, bo jechał na światłach postojowych, z nadmierną prędkością.

Tłumaczył, że zapomniał włączyć światła szosowe. Przepraszał.

Z jakiego kierunku nadjechał?

Od strony Warszawy.

Był sam?

Nie. Na tylnym siedzeniu widziałem mężczyznę w skórze i nasuniętym na czoło kapeluszu. Kierowca wyjaśnił, że wiezie chorego kolegę do lekarza.

Nie wydało się wam dziwne, że wiezie chorego z miasta?

Przecież w Warszawie mógłby szybciej uzyskać pomoc lekarską.

Różnie bywa. Nie moja sprawa. Ma prawo jechać, gdzie mu się podoba, byle przestrzegał przepisów drogowych. Może koleś był pijany i odwoził go do domu?

Sprawdzaliście dokumenty kierowcy?

Oczywiście. Pamiętam, że legitymował się szwedzkim paszportem wystawionym na nazwisko Engberg. Wóz był rejestrowany jako własność firmy „Activ”, której, jak mówił

kierowca, on jest właścicielem.

- Zdjęcie pasowało?

- Było już ciemno. Boczne światła w wozie się nie paliły.

Kierowca mówił, że właśnie wysiadły mu żarówki. Dokumenty oglądałem przy latarce. Wydał mi się nieco starszy niż na fotografii. Ale że człowiek różnie wychodzi na zdjęciach, więc się tym nie interesowałem. Wlepiłem mu mandat. Za dwa tysiące.

Gmerał i gme-rał w portfelu, wypchanym obcą walutą, wreszcie znalazł i wyciągnął banknot pięciotysięczny. Nie chciał reszty.

Potem ja z kolei szukałem pieniędzy, a on się denerwował. Mówił, że mu się spieszy.

Bałwan! Bałwan do kwadratu! Zamiast zastanowić się, dlaczego facet legitymujący się szwedzkim paszportem jedzie z chorym w kierunku puszczy zamiast do miasta, on wierzy we wszystko, co tamten mu mówi. A sprawa jest od początku podejrzana. Jedzie z nadmierną prędkością, bez świateł, nie zapala bocznych światełek w wozie, bo żarówki mu się zepsuły.

Wystarczyło sprawdzić stan techniczny wozu i przy okazji rzucić okiem na pasażera!

Tymczasem on załatwia sprawę mandatem! Miał faceta w rękę i nawet mu się dobrze nie przyjrzał.

To musiał być sprawca zabójstwa albo jego wspólnik. Korcz jest prawie pewny. Wiózł

zwłoki do Puszczy Kampinoskiej. Miałem rację sądząc, że denat został zabity w jakimś mieszkaniu, tym bardziej że na podeszwach butów Engberga eksperci nie znaleźli śladów świadczących o tym, że chodził po lesie. A jeśli to był Józwiński? Miał motyw. Gdyby miał

jeszcze wspólnika. Z jego pomocą mógł wynieść i wywieźć zwłoki, zakopać je, a potem ten wspólnik mógł go wykończyć i wpakować do bagażnika.

Nonsens, gani sam siebie. Zaczynam bredzić. Wspólnik zakopałby w puszczy zwłoki obydwu, zabralby pieniądze i dokumenty, wóz gdzieś podrzucił, a sam się ulotnił. Sprawca musiał być w jakiś sposób związany z firmą, z jej właścicielem i pełnomocnikiem. Musiał też wiedzieć, gdzie zostawić wóz Engberga, tak by przez długi czas nikt nie mógł go znaleźć.

Facet ma nerwy z żelaza. Ta jazda z trupami. Kto może wchodzić w grę?

-? Chciałbym, żeby mi pani - zwraca się do sekretarki - podała nazwiska ludzi, z którymi Engberg był umówiony podczas pobytu w Polsce. Na pewno ma pani to zanotowane w terminarzu.

- Chodzi panu o naszych kontrahentów?

- Nie tylko, choć także i o nich. Zależy mi na ludziach, z którymi Engberg się spotykał

i utrzymywał kontakty osobiście lub za pośrednictwem inżyniera Józwińskiego. Może w ten sposób uda mi się trafić na sprawcę czy też sprawców zabójstw.

Nie wiem, czy moje informacje będą kompletnej Nie znam wszystkich kontaktów szefa. Z niektórymi ludźmi umawiał się bez mojego pośrednictwa. Być może pośredniczył

inżynier Józwiński.

Dlatego interesują mnie ich wspólne kontakty.

Służę panu. - Panna Zosia bierze terminarz do ręki. Dyktuje.

Korcz notuje. Lista nazwisk i adresów jest długa, bardzo długa.

ROZDZIAŁ XIII

Korcz już drugi dzień z rzędu ślęczy nad rozszyfrowaniem zapisków z notesu Engberga oraz notek z inicjałami i datami znalezionymi w wozie Józwińskiego. Po rozmowach z Jankowską i Szostkiem wie już na pewno, że inicjały oznaczają biorców, a cyfry - wpłacane im sumy. Metodę poznał na przykładzie tych dwojga. Innych, określonych inicjałami, trzeba dopiero ustalić.

Kogo Engberg odnotował jako „A-6” czy „K-2”? Kim są „M”, „Z” czy „S” z kartki Józwińskiego? Daty - to pewne - mówią o terminach wpłat, cyfry - o wysokości sum w milionach złotych.

Może inicjały biorców da się rozwinąć, jeśli zestawie się je z listą kontrahentów firmy, z listą zrealizowanych i planowanych spotkań obu mężczyzn? Może tym systemem uda się odkryć nie znane dotychczas kontakty? Czy wszystkie? Panna Zosia uprzedzała, że jej szefowie umawiali się z ludźmi również bez jej pośrednictwa.

Obok danych zaczerpniętych z terminarza sekretarki położył listę aktualnie prowadzonych przez firmę robót i kserokopie zleceń podpisanych przez inwestorów.

Zleceń jest kilkanaście. Korcza interesują tylko bieżące, gdyż jego zdaniem one mogą mieć bezpośredni związek z prowadzoną przez niego sprawą. Podpisujący je ludzie mogą być związani z firmą - jak to powiedziała panna Zosia - interesami i interesikami.

Ona uważa, że pieniądze są czynnikiem, który ludzi łączy, wiąże ich trwale ze sobą? -

Czy zawsze i wszystkich łączą? Czy nie mogą dzielić? Korcz chce się dogrzebać do sprzeczności między kontrahentami. Sprzeczności rodzących motyw. Takich na przykład, jakie zaistniały na linii Engberg-Józwiński.

Zlecenie spółdzielni mieszkaniowej na Mokotowie. Podpisał je prezes spółdzielni Jarosław Słomka. Czyżby to on krył się pod inicjałem „S” odnotowanym na karteluszkach Józwińskiego?

Na zlecenie spółdzielni firma budowała drogę dojazdową do nowego osiedla oraz - na wspólne zlecenie spółdzielni i wydziału handlu - pawilony usługowe i handlowe na tym osiedlu. Kosztorys 4 miliardy złotych. Za dwa dni „Activ” ma przekazać zakończoną już inwestycję. Przy „S” figurowała data 29 września. Czyżby więc wypłacono Słomce „dole” przed przyjęciem robót? Pieniądze za tę inwestycję jeszcze nie wpłynęły na konto firmy.

Sięga po nowe zlecenia z innych spółdzielni. Nie, to nie może chodzić o Słomkę. Słomka nie figuruje także w terminarzu panny Zosi.

Z raportu grupy operacyjnej wynika, że wśród kontrahentów firmy jest i Słomka. Były pracownik centralnego aparatu gospodarczego, usunięty razem ze swoim szefem Janem Myczkowskim za nieudolność, nie przemyślane decyzje i inne nieprawidłowości. Decyzje Myczkowskiego naraziły podległe mu przedsiębiorstwa przemysłu lekkiego na straty rzędu paru miliardów złotych, utopionych w bezsensownych inwestycjach.

Cała sprawa nie została do końca wyjaśniona. Myczkowski - wynikało z raportu -

zasłaniał się poleceniami „szczebla”. W efekcie został przeniesiony do centralnego związku spółdzielni mieszkaniowych, na równorzędne stanowisko, a jego pracownik, Słomka, mianowany wkrótce potem prezesem nowo powstającej spółdzielni. To przeniesienie Myczkowski zawdzięczał pomocy kumpla, ówczesnego związkowego notabla, Józwińskiego,

„M”

- to musi być on, bo skąd by inaczej wzięły się te spółdzielcze zlecenia? Myczkowski był umówiony na spotkanie z Engbergiem w poniedziałek, 4 października. Prawdopodobnie Józwiński z podjętych w środę 40 milionów złotych pięć miał wypłacić Myczkowskiemu.

Widać nie zdążył, bo przy inicjale „M” i sumie brak daty. Możliwe, że były pełnomocnik, odszedłszy z firmy, ową kwotę przywłaszczył sobie. Tak czy owak, decyduje Korcz, trzeba porozmawiać z Myczkowskim. Rzecz jasna nie o łapówkach czy zleceniach, ale o Józwińskim i owym planowanym spotkaniu z Engbergiem.

Pan dyrektor po krótkiej rozmowie telefonicznej jest gotów natychmiast służyć swoją osobą prowadzącemu śledztwo porucznikowi.

Wita gościa w drzwiach sekretariatu. Kordialnie ściska mu dłoń, zaprasza do środka, każe sekretarce natychmiast podać im kawę.

- Może koniaczku? - proponuje podsuwając fotel.

Korcz odmawia. Jest na służbie. Więc dyrektor musi wybaczyć.

- Za to kawę, tak. Chętnie. Jak pan zapewne zorientował się z rozmowy telefonicznej -

zagaja krótko - prowadzę śledztwo w sprawie dwóch zabójstw. Interesuje mnie wszystko, co mogłoby nam ułatwić dotarcie do sprawców. Wiem, że był pan umówiony z Engbergiem na poniedziałek, czwartego października. W jakich okolicznościach i kiedy pan się z nim umawiał?

Dyrektor mruży małe oczka, przesuwa pulchną dłoń po równie pulchnej twarzy.

- Rzeczywiście, byłem z nim umówiony - mówi wolno cedząc słówka. -

Rozmawialiśmy w czwartek rano.

Telefonicznie.

Znał pan osobiście pana Engberga?

Nie. Znałem tylko inżyniera Józwińskiego.

Czy panowie kontaktowali się ze sobą w ciągu ostatnich dziesięciu dni? Kiedy widział się pan z Józwińskim ostatni raz?

Zaraz, niech pomyślę. - Myczkowski wyraźnie chce zyskać na czasie. - Tylko zajrzę do kalendarza - wolno przewraca kartki.

- Spotkaliśmy się z inżynierem Józwińskim w poniedziałek dwudziestego siódmego września. Firma „Activ”, której był pełnomocnikiem, wykonywała dla jednej z naszych spółdzielni inwestycję drogowo-budowlaną. Mieliśmy dobre doświadczenia ze współpracy z tą firmą, prace były wykonywane terminowo i starannie, chcieliśmy podtrzymać ten kontakt.

Także w przyszłości. Sam pan wie, jaką wagę przywiązuje nasz rząd do rozwoju spółdzielczości mieszkaniowej.

Nic się od niego nie dowiem. Jest przestraszony, przebiega przez myśl Korczowi. Boi się pewnie, żeby to i owo nie wyszło na jaw.

Dziękuję więc dyrektorowi za informacje i postanawia zobaczyć, jaki jest stan inwestycji realizowanej przez „Activ” dla mokotowskiej spółdzielni.

Na budowie ruch. Prace wykończeniowe przy pawilonach są wykonywane błyskawicznie. Na pierwszy rzut oka widać, że ludzie dwoją się i troją.

Korcz jest zaskoczony. Nie może się nadziwić. Jeden, dwóch ludzi na budowie, nierzadko ćmiących papieroska, rozrzucone materiały, nieczynne maszyny - to normalka.

Skąd to tempo, porządek?

Zapytany o to robotnik śmieje się.

Dziwi się pan? To proste. Przez dwa tygodnie zarobię tu tyle, co przez rok w państwowej firmie. Opłaci się popracować. Takich, którzy się objęli, majster na zbity łeb wyrzucił. Ot, i cała tajemnica.

Macie własne maszyny?

Nie. Wypożyczone. Z państwowej firmy. Widać im się to też opłaci.

Korcz podchodzi do odstawionej na bok koparki. Na plakietce nazwa jednego z warszawskich

przedsiębiorstw budowlanych. I adres.

Gdzie odstawiacie te maszyny i sprzęt po zakończeniu budowy?

- pyta któregoś z robotników.

Pójdą z nami na inną budowę. Na jaką, tego jeszcze nie wiemy.

Majster mówił, że będziemy pracować gdzieś pod Łodzią Korcz uprzytamnia sobie, że wśród przeglądanych przez niego zleceń jest budowa magazynu dla zakładów dziewiarskich w Łodzi, jednego z trzech zakładów państwowych, które złożyły „Activowi” zamówienia na roboty budowlano-montażowe.

Obecnie firma buduje świetlicę, łaźnię i stołówkę dla zakładów przetwórstwa owocowego w Grójeckiem.

Na tę budowę Korcz wysłał sierżanta Snopka. Miał sprawdzić, skąd firma „Activ” bierze maszyny, sprzęt, materiały budowlane.

Snopek właśnie wrócił i czeka na Korcza.

- Dysponuję maszynami i sprzętem z warszawskiego kombinatu. Materiały już zwieźli. Przedstawiłem się jako badylarz, który chce złożyć zamówienie na budowę szklarni.

Odesłano mnie do dyrektora Zimińskiego, który takie roboty organizuje.

- Nie wiesz, skąd oni biorą ludzi?

- Zwyczajnie. Podkupili z kombinatu. Tam mają przestoje, bo front robót nie przygotowany i materiałów brakuje. Ludzie przeszli chętnie. Opłaci się im.

- Tyle to i ja ustaliłem. Problem, jakimi kanałami oni to załatwiają. Czy zagrożenie ujawnienia tych machlojek mogło stać się motywem zabójstwa... - nie kończy, przerywa mu telefon.

Dzwoni ekspert z Zakładu Kryminalistyki z rewelacją: pocisk wydobyty z czaszki Józwińskiego nie pochodzi z dostarczonego do badań pistoletu.

A to ci pasztet! Sprawca podrzucił inny pistolet?! Umyślnie czy przez pomyłkę? Ale z tego podrzuconego też strzelano niedawno.

Do kogo?

ROZDZIAŁ XIV

Czy zagrożenie ujawnienia różnych machlojek i konflikty na tym tle mogą być, twoim zdaniem, motywem tych zabójstw? - Korcz dzieli się swymi wątpliwościami z naczelnikiem.

Mogą - mówi wolno naczelnik. - Zwłaszcza gdy chodzi o pieniądze. Pieniądzenie tylko łączą. Częściej nawet dzielą.

Zaraz, zaraz, ktoś mi mówił to samo, usiłuje sobie przypomnieć tamtą rozmowę. Po chwili rezygnuje. Nie ma czasu na filozofowanie. Raporty się piętrzą.

Bierze pierwszy z góry. Antoni Kozik. Dyrektor kombinatu budowlanego, tego właśnie, który wydzierżawił maszyny firmie „Activ”. Rzecz zresztą - jak wynika z raportu -

nie przedstawia się tak zupełnie prosto. Kozik tylko podjął decyzję, bo o wydzierżawienie maszyn dla wykonawcy, dysponującego materiałami budowlanymi, występowały kolejno centralny związek spółdzielczości mieszkaniowej i zrzeszenia branżowe przedsiębiorstw. We wszystkich pismach niemal jednakowe uzasadnienie, jakby powielone: chodzi o inwestycje priorytetowe, a maszyny i sprzęt, którym dysponuje wykonawca, jest niewystarczający do realizacji zamierzonego celu, wykonawca za użytkowanie sprzętu zapłaci.

Owa zapłata okazała się raczej symboliczna, bowiem w jej skład jakimś cudem nie weszły koszty amortyzacji maszyn i sprzętu.

Ale na oko wszystko wyglądało na zgodne z prawem.

Z ustaleń grupy operacyjnej wynikało także, że kombinat po wydzierżawieniu sprzętu miał nieustanne przestoje, choć zamówień na roboty budowlane nie brakowało. Odmowy ich wykonania podyktowane były - pisano - brakiem ludzi, trudnościami z zaopatrzeniem w materiały budowlane, tudzież dekapitalizacją sprzętu i maszyn. Tych właśnie, które wykorzystywano na potrzeby firmy „Activ”. Owe odmowy, podobnie jak zgodę na wydzierżawienie maszyn „Activowi” - uzasadnioną niemożnością ich wykorzystania z braku materiałów i kadry - podpisywał dyrektor Antoni Kozik.

On sam, ustalili, z wykształcenia ekonomista, tkwił od lat w aparacie gospodarczym, niezmiennie na dyrektorskich stołkach.

Parokrotnie karany naganami za różne mniejsze i większe nieprawidłowości, zawsze był przesuwany na wyższe lub co najmniej równorzędne stanowisko, tyle że w innej branży.

Gdy go z przedostatniego zdjęto wskutek zdecydowanego protestu załogi, został mianowany szefem kombinatu budowlanego. Parę lat temu otrzymał wysokie odznaczenie za wieloletnią pracę i zasługi dla rozwoju przemysłu.

Od ponad dwóch lat - ten okres pokrywał się z okresem funkcjonowania „Activu” -

rosły trudności, z jakimi borykał się kierowany przez Antoniego Kozika kombinat, i wzrastała prosperity dyrektora. Sposobem gospodarczym wybudował willę w Konstancinie, co w praktyce oznaczało zaangażowanie kombinatowego potencjału w tę inwestycję, kupił córce trzypokojowe mieszkanie za walutę wymiennalną i co roku wyjeżdżał z rodziną na urlopy za granicę: do Szwecji i Szwajcarii.

W Szwecji bawił na zaproszenie Engberga. Do Szwajcarii wyjechał z orbisowską wycieczką. Z jego

konta „A” zostały przelane na konto „Polmozbytu” dewizy na zakup japońskiej mazdy.

Kozik utrzymywał osobiste kontakty zarówno z Józwińskim, jak i z Engbergiem. Z

kartelu-szka Józwińskiego wynikało, że w czwartek 30 września „K” otrzymał od niego 4 miliony złotych.

Gdzie i w jakich godzinach się spotkali? Tego nie udało się jeszcze ustalić.

O znajomości z Engbergiem świadczyło zaproszenie na urlop do Szwecji, a także fakt, że Engberg, za pośrednictwem panny Zosi, połączył się z Kozikiem w piątek, a potem polecił

sekretarce, by zamówiła na wtorek stolik w „Victorii”, na trzy osoby. Kim był ten trzeci? Nie wiadomo.

Kozik jako potencjalny sprawca zabójstwa Józwińskiego i Engberga? Mało prawdopodobne. Jego interesy z firmą „Activ” nie ucierpiały w wyniku zmiany pełnomocnika, były raczej związane z osobą Engberga, ocenia Korcz odkładając na bok raport.

Kto mógł ucierpieć w wyniku tej zmiany, zastanawia się. Radca prawny i główny księgowy, ludzie ściągnięci przez Józwińskiego, odpowiada sam sobie. Ale ich sytuacja się nie zmieniła. Nic nie wskazywało na to, by Engberg po usunięciu pełnomocnika miał zamiar przeprowadzić zmiany na tych stanowiskach. Radca prawny, który przeszedł do firmy z resortu budownictwa, był niezbędny. Jego były szef z tego resortu, Hipolit Stół, jest dyrektorem departamentu i decyduje o rozdzielnictwie materiałów budowlanych.

Stół - jak wynika z ustaleń grupy Korcza - za młodu uprawiający boks, awansował na szefa jednego z działów komitetu kultury fizycznej. Potem został dyrektorem fabryki wyrobów sportowych. Stamtąd przeszedł do budownictwa. Parę kolejnych awansów, odznaczeń i jest czym jest. Jako stary działacz sportowy nadal patronuje bokserom. Ba, przydzielił związkowi materiały na budowę hal sportowych w paru miastach wojewódzkich.

Przydziela je także „Activowi”.

Z raportu wynika, że wszystkie inwestycje realizowane przez „Activ” były znakomicie zaopatrzone w materiały budowlane.

Wprawdzie w oficjalnych rozdzielnicach firma nie figuruje, ale Stół osobiście akceptował wnioski o przydział materiałów, składane przez kolejne spółdzielnie, a także wnioski zrzeczeń występujących o przydział materiałów na konkretne budowy, właśnie te, na których wykonanie „Activ” dostawał zlecenia.

Inicjały „S” i „K”, figurujące na kartce Józwińskiego, można by uznać za rozszyfrowane, ale przy cyfrach nie ma dat. Józwiński nie wypłacił im „doli”. Nie dotarł do nich. Nie zdążył dotrzeć?!

Zatrzymał dla siebie pieniądze? Wy-kantował współników? Czy Engberg odbierając mu

pełnomocnictwo liczył się z taką możliwością?

Z terminarza panny Zosi wynika, że w piątek, pierwszego października, a więc już po odebraniu pełnomocnictwa Józwińskiemu, łączyła Engberga ze Stólem. Skawiński stwierdził, że Engberg umówił się z nim i że byli na kolacji w „Forum” w środę o dwudziestej.

Wniosek prosty: Engberg po zmianie pełnomocnika zamierzał utrzymać nadal nawiązane przez Józwińskiego i jego ludzi kontakty. Nie miał więc zamiaru usuwać z firmy ani radcy prawnego Mirosława Najdy, ani głównego księgowego Józefa Wocha, ani wreszcie ściągniętej przez Najdę panny Zosi. Interes jest interesem. W interesie Engberga leżało utrzymanie status quo. W interesie zaś radcy, księgowego, panny Zosi leżało utrzymanie się w firmie.

Grupa operacyjna Korcza sprawdziła także alibi wszystkich kontrahentów. Ale, jak dotąd, jedynym mającym wątpliwe alibi był Szostek i potwierdzająca je panna Zosia. Znów jedyny potencjalny podejrzany?

ROZDZIAŁ XV

Od analizy raportów odrywa Korcza telefon.

- Przyjdź natychmiast, jest tu coś dla ciebie, - głos kolegi zajmującego się włamaniami.

Wrzuca dokumenty do szafy pancерnej i niemal biegnie. Jest już solidnie zmęczony ślęczę-' niem nad analizami. Wprawdzie dotychczas wykrył sporo. Tyle że jest to praca, którą będą kontynuowali koledzy z biura do walki z przestępczością gospodarczą. Z jego punktu widzenia - krewa. Żadnej nitki prowadzącej do sprawców zabójstw. Prawda, mam skrawek nitki, znalezionej na krzaku w Puszczy Kampinoskiej, śmieje się w duchu sam z siebie. I trochę materiału do identyfikacji mikrośladów z ubrań denatów i ich obuwia. Ale materiału porównawczego ani za grosz. I to wątpliwe alibi Szostka. Może więc wreszcie jakiś nowy trop. Wpada do pokoju kolegi.

- Co masz? - pyta podniecony.

- Złapaliśmy kilku chłopaczków na gorącym uczynku.

Narkomani. Włamywali się do willi na Żoliborzu. Przy jednym z nich znaleźliśmy spis adresów. Któryś puścił farbę. Te adresy to wytypowane do włamań mieszkania.

- Narkomani? - w tym momencie na myśl przychodzi mu młody Józwiński; może to związana z nim grupa? - Pokaż ten spis - niecierpliwi się.

Kolega wyciąga kartkę z biurka.

- Proszę.

Rzuca okiem na adresy.

Jest - niemal wykrzykuje na widok nagryzmołonego niewyraźnym pismem adresu Józwińskich. -

Gdzieście ich zwinęli?

Na Marymonckiej. Włamywali się do mieszkania niejakiego Kulińskiego. Ten lokal jest pusty, bo Kulińscy wyjechali na wycieczkę zagraniczną. Na pewno by się im udało, ale mieszkający piętro wyżej Waław Antczak usłyszał jakieś niezwykle chroboty, wyrwał

oknem i zobaczył krzątających się koło krat ludzi. Zadzwoił po nas.

Antczak, Antczak. Skąd ja znam to nazwisko, przemyka przez głowę Korcza.

Słuchaj, Staszek, chciałbym być przy przesłuchaniach.

Przecież po to cię zawiadamiałem - mruczy kapitan Stawski. - Zaraz zaczynam.

Sprowadzić Kopczyńskiego z aresztu - wydaje polecenie przez telefon.

Po kilku minutach w drzwiach staje blond-dryblas ze skutymi rękami.

- Siadaj - zwraca się do zatrzymanego Stawski. - Rozkuć go - poleca konwojentowi.

Gest ręki w kierunku funkcjonariusza, czekającego na dalsze dyspozycje. Ten wychodzi.

Imię, nazwisko, rok urodzenia - zaczyna Stawski po uruchomieniu magnetofonowej taśmy.

Tadeusz Kopczyński, rok urodzenia tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty czwarty - mówi wolno, przerywanym głosem, zatrzymany.

Od kiedy się narkotyzujesz?

Dwa, trzy lata. Koledzy wciągnęli.

Jacy koledzy?

Zatrzymany podaje nazwiska, adresy. I wśród innych pada to jedno szczególnie interesujące Korcza: Jóźwiński. Nie przerywa jednak koledze przesłuchania. Będzie dosyć czasu, by go dokładniej wypytać, jak tamten skończy.

- Kto nadał wam ten adres?

- Piotrek Wałek. On mieszka w pobliżu i to on wyniuchał, że właściciele wyjechali.

Mówił, że to bogaci ludzie. Mają zachodni wóz, jeżdżą na zagraniczne wycieczki. Powinien tam być grubszy szmal. Powiedział także, że kraty w oknach łatwo przepiłować, bo cienkie, takie tylko dla picu.

- Jak ustalaliście adresy?

- Zwyczajnie. Jesteśmy z jednej klasy - wyjaśnia Kopczyński - i każdy z nas miał

kogoś nadzianego w sąsiedztwie.

Podejmowaliśmy obserwację, żeby poznać zwyczaje mieszkańców. Na skok szliśmy już na pewniaka. Potem zdobyliśmy opylaliśmy na bazarze. Szło na kompot. Na prochy. Potem, kiedy znów brakło...

- Wszystkim brakowało?

- No, nie wszystkim. Jest wśród nas paru takich, którzy zawsze mają forszę. Wiesiek Stół, Witek Józwiński.

- Ci dwaj nie chodzili z wami na włamania?

- Nie. Po co im szmal? Stać ich nawet na LSD. Ale kupowali tylko dla siebie. Czasem coś odstąpili, ale za inne prochy czy kompot. Kompot robiliśmy u nich. U Witka Józwińskiego chata często była pusta. Jego ojciec zwykle gdzieś wyjeżdżał, a matka też ciągle poza domem. Ci to mają chatę. Na oko widać, że nadziani.

- To stąd ten adres? - wtrąca się Korcz.

- Stąd - potakuje zatrzymany. - Czasem wynosiliśmy się na daczę w Magdalence.

Przeważnie późną jesienią lub zimą.

Wiadomo, starzy nie przyjadą.

Stół też tam miał daczę?

A jakże.

- Kiedy byliście ostatni raz w willi Józwińskich w Magdalence? - Korcz z trudem panuje nad ogarniającym go podnieceniem.

Niedawno. W którąś niedzielę.

Nie pamiętasz daty?

Nie pamiętam. Byłem naćpany.

Nie zabraliście nic z tych daczy? - pyta Stawski.

Nie. Stracilibyśmy mety, gdyby ich starzy się zorientowali, że ktoś tam bywa w czasie ich nieobecności. Lepiej było próbować gdzie indziej...

To dlaczego planowaliście włamanie do mieszkania Józwińskich?

Witek wygadał się kiedyś, że jego stary ma w mieszkaniu całą walizkę pieniędzy.

Byłoby na dłużej.

Mogliście nadzieć się na Witka lub jego matkę. I co wtedy? - włącza się Korcz.

Witka mieliśmy namówić, żeby jechał do Magdalenki robić kompot. Jego starzy już stamtąd się wynieśli. A matka, już mówiłem, że ona często jest poza domem.

Osiemnastoletni Mariusz Kamiński też ma na swoim koncie serię włamań. Do aptek, do mieszkań.

- Skąd mieliście LSD? - pyta Stawski.

Witek gdzieś kupował. Czasem nam odsprzedawał.

Co robiliście w niedzielę, trzeciego października? - tym razem Korcz włącza się prawie natychmiast.

W niedzielę, w przedostatnią niedzielę? - chłopak powtarza pytanie. - Mieliśmy wpadkę. Pojechaliśmy na daczę do Witka, ale tam był jego stary. Witek na szczęście zdążył

zwiąć w porę.

Później poszliśmy do Stola. W jego daczce nie było nikogo.

Chcieliśmy tam przenocować, ale wystraszyliśmy się.

- Czego się przestraszyliście?

- Nagle coś huknęło. Jakby pękła opona lub ktoś strzelił.

Baliśmy się, że ktoś koło daczki się pęta i może nas nakryć.

Zgasiliśmy światło i siedzieliśmy po ciemku. Kopczyński i Józwiński byli już naćpani.

- Słyszeliście coś jeszcze?

- Szum motoru. Wyjrzałem ostrożnie przez drzwi wejściowe.

Było już cicho. Poprzez drzewa przeblyskiwało jakieś światło.

Widać nie wszyscy wyjechali. Zmyśliśmy się. Wyprowadziliśmy z trudem dwóch chłopaków. Byli półprzytomni. Wróciliśmy do Warszawy.

Inni przesłuchiwani powtarzają to, co powiedzieli już ich koledzy.

A więc nic, co by interesowało Korcza. Czy wyjaśnienia tych chłopaków mogą stać się punktem wyjścia do dalszego śledztwa, zastanawia się wróciwszy do siebie. Ale jest to dowód, że prawdopodobnie nie wszystkie daczki były wówczas puste.

Jeszcze raz, kolejny już raz, próbuje zrekonstruować wypadki owej tragicznej nocy.

Józ-wiński senior wyszedł piechotą ze swojej willi. Gdyby założyć, że przyjechał, bo chciał się z kimś skontaktować, z kimś, kto mieszkał albo czasowo przebywał w Magdalence...

Raczej to drugie. Najprawdopodobniej szukał poparcia i oparcia, żeby oficjalnie lub nieoficjalnie załatwić porachunki z Engbergiem. Może chciał się tylko zemścić, ujawniając jakieś kompromitujące „Activ” tajemnice. Któż znał je lepiej od niego? Jest więc prawdopodobne, że ktoś, kto mógłby mu pomóc, ma willę w Magdalence. Że też nie pomyślałem o takiej ewentualności, gani w duchu sam siebie.

- Przywieźcie mi jutro rano młodego Józ-wińskiego i Stola.

Ulokujcie ich tak, żeby się nie spotkali - poleca podległym mu funkcjonariuszom.

Sam idzie do szefa. Zreferować ostatnie ustalenia i plan związanych z tym czynności.

- Dałem komunikat do prasy o zaginięciu Józwińskiego. Z jego zdjęciem i informacją, że ostatnio widziano go w Magdalence. Może się zgłosi jakiś świadek.

Korcz wychodzi z gabinetu. Włamywaczy przydybał Antczak.

Skąd ja znam to nazwisko?

ROZDZIAŁ XVI

Z samego rana Korcz łączy się telefonicznie z panną Zosią.

Czy zna pani - pyta po wymianie wstępnych uprzejmości - Wacława Antczaka?

Oczywiście. - Panna Zosia jest zdziwiona. - Pan docent jest przewodniczącym rady nadzorczej, funkcję wiceprzewodniczącego pełni pan Adam Zieliński.

Od dawna?

Od początku istnienia firmy.

To znajomi Engberga?

- Nie. Pana docenta ściągnął już Józwiński, a pana Zielińskiego nasz dyrektor.

Słyszałam, że byli razem na jakiejś placówce.

- Dlaczego nie ma ich na listach płacy? Śmiech w słuchawce: - Bo oni te funkcje - zaśmiewa się panna Zosia - pełnią społecznie.

Korczowi kojarzą się inicjały „A” i „Z” z karteczki Józwińskiego.

„Społecznie”, uśmiecha się do siebie.

- Czy mogłaby mi pani podać adres i telefon Antczaka?

Już podaję. Tylko który?

Jak to, który? Domowy.

Mieszka na Marymonckiej, ale telefon ma także w swojej willi w Magdalence.

Proszę obydwu. Zieliński też ma willę w Magdalence? - pyta dla porządku.

Nie. W Konstancinie. Ale ma i mieszkanie w Warszawie.

- Czy umawiała ich pani z Engbergiem?

- Nie. Nigdy ich nie umawiałam. Sami się kontaktowali.

Bezpośrednio.

- Widywała ich pani w firmie?

- Tylko parę razy. Pan Szostek kiedyś mi o nich opowiadał - urywa, jakby ugryzła się w język.

Korcz nie podejmuje tematu, dziękuje dziewczynie za informacje i odkłada słuchawkę.

- Wprowadź Józwińskiego - łączy się ze Snopkiem, pewien, że jego polecenie dotyczące przywiezienia obu chłopców do urzędu zostało wykonane.

W parę minut później Witold Józwiński staje w drzwiach. Rzut oka na chłopaka. Tak, tym razem nie widać, żeby był pod wpływem narkotyków.

- Siadaj. Po co pojechałeś z kolegami w pierwszą niedzielę października do Magdalenki?

Ja tam nie byłem. - Jest wyraźnie zaskoczony pytaniem.

Nie kłam. Nie byłeś sam. Najpierw pojechaliście do waszej daczy, a potem do Stółów.

Skąd pan wie? - wrywa się chłopakowi.

Od twoich kolegów. Powiedzieli także, że tak chwaliłeś się ojcowskim szmałem, że postanowili włamać się do waszego mieszkania. Ciebie mieli zamiar w tym czasie wyciągnąć do Magdalenki. Kto wie, czy oni nie zabili twego ojca, by zdobyć pieniądze na narkotyki?!

- milknie i obserwuje wrażenie. Józwiński blednie. Przez chwilę łapie powietrze jak wyciągnięta z wody ryba.

- Mówiłem. Prawda. Ale nie przypuszczałem, że oni... - Patrzy na Korcza szeroko rozwartymi

oczami; maluje się w nich przerażenie.

- Skąd pan to wie? - bąka po chwili.

Zostali przyłapani na włamaniu przez docenta Antczaka - strzela ciekaw reakcji.

Do pana Antczaka? - Korcz nie wyprowadza chłopca z błędu.

Niech się dziwi, niech mówi, może powie coś ciekawego. - To znajomy ojca.

Przychodził do nas często. Ojciec się bardzo z nim liczył. Ale skąd wzięli adres?

Pewnie pochwaliłeś się, że go znasz i że nadzieany.

Nie. Jak Boga kocham, nie. Nie znam jego adresu.

- Sami mogli ustalić, jeśli znali nazwisko. Powiedz, jak to było w tej Magdalence? -

Korcz powtarza już wcześniej zadane pytanie. - O której się tam wybraliście? Wiem, że często wykorzystywaliście waszą willę jako metę do robienia kompotu.

Narzekasz na rodziców, a sam...

Chłopak spuszcza głowę. Jest mu wstyd.

Pojechaliśmy wczesnym popołudniem. Kopczyński, Kamiński, Stół i paru innych. Z

całym majdanem. Byliśmy już pod naszą willą, gdy zobaczyłem, że ojciec wychodzi z domu sąsiadów.

Wystraszyłem się. Skryłem się za drzewami. Stary wszedł do domu, a my w nogi.

Pobiegliśmy do willi Stółów. Na drugi koniec Magdalenki. Wiesiek, podobnie jak ja, miał ze sobą klucze.

Obeszliśmy dom dokoła, żeby sprawdzić, czy i tu się na kogoś nie nadziejemy. Nie było nikogo. Sprawdziliśmy też u sąsiadów, żeby mieć pewność. Robiliśmy kompot w kuchni, a potem siedzieliśmy, jak zwykle, w małym pokoiku obok.

Miałeś ze sobą prochy - brzmi to jak stwierdzenie.

Tak. Wziąłem je ze sobą. A potem nie mogłem się doczekać, kiedy kompot będzie gotowy, więc łyknąłem procha. Podzieliłem się z Kopczyńskim.

- Co było później?

Nie wiem. Film mi się urwał. Ocknąłem się w domu.

Nie mówili ci, dlaczego tak szybko się zmyli?

Opowiadali, że chyba ktoś obcy się kręcił, bo słyszeli coś jakby strzał, a potem szum motoru. Widzieli jakieś światło. Wystraszyli się.

Stół jest przerażony.

Panie poruczniku, niech pan tylko nie mówi ojcu o tej naszej imprezie. - W oczach błaganie. - Ostatni raz... Więcej nie pojedziemy... Przysięgam! - Głos mu się trzęsie.

Opowiedz mi dokładnie, co was tak wystraszyło w niedzielę trzeciego października.

Robiliśmy kompot. Uchyliłem okno w kuchni, żeby nawet zapach wywietrzał. I nagle jakiś huk. Coś jakby strzał, może pęknięcie dętki. Wystraszyłem się. Ktoś mógł nas nakryć.

Zgasilem światło i zaczęliśmy wszyscy nad słuchiwać. Cisza. Wyjrzałem przez okno.

Przez drzewa pobłyskiwało światło w oknach jakiejś willi.

Przedtem się nie paliło, to wiem na pewno, bo rozglądaliśmy się wchodząc, czy jest pusto w okolicy. Gdy tak nad słuchiwaliśmy, błysnęły światła reflektorów i zaczął pracować silnik. Ktoś pewnie odjeżdżał. Zmyliśmy się. Zabraliśmy tych dwóch naćpanych.

Odwieźliśmy ich do domów. Pan nie powie memu staremu.

- Znow błagalnie patrzy na Korcza.

- Na razie nic ci nie mogę obiecać. Pojedziesz ze mną, pokażesz mi tamten dom.

Wiesiek nie protestuje. Korcz ściga samochód.

- Jedziemy do waszej willi, prowadź - zwraca się do chłopaka, gdy są już w pobliżu skrzyżowania z drogą na Nadarzyn.

Willi Stółów leży niemal na samym skraju Magdalenki. Dalej jest tylko parę posesji na poły ukrytych w sąsiednim lesie.

- Z którego okna widziałeś światło? Chłopak zbliża się do okna wychodzącego na tę właśnie stronę.

- Stąd.

Korcza zajmuje jego miejsce. Przez rzadki w tym miejscu las widać zarys sąsiednich posesji.

Tam? - pokazuje ręką.

Tam - potwierdza Wiesiek.

Korcza jest już pewny, że młody Stół mówi prawdę. Teraz musi ustalić, do kogo należą te wille.

- Wracamy do Warszawy - poleca kierowcy.

Wysadza chłopaka przed domem, a sam ponownie jedzie do Magdalenki, aby porozmawiać z komendantem posterunku. Idą razem w „obchód” terenu.

- Wasi ludzie stwierdzili, że schodzili Magdalenkę wzdłuż i wszerz, że wszystkie wille były puste. Tymczasem w niedzielę, trzeciego października, był ktoś w jednej z daczy położonych na skraju, nie mówiąc już o tym, że w pustych domach „urzędują” narkomani.

Może i ktoś był - mruczy komendant. - Wiecie, jak to jest.

Ktoś mógł przyjechać na parę godzin i odjechać. Moi chłopcy akurat na tego ktosia nie trafili. Dwóch ludzi na krzyż, a wy z pretensjami.

O narkomanach też nie macie pojęcia, a oni jeżdżą tam systematycznie późną jesienią i zimą. Czyje to wille? - Korcz wskazuje kierunek.

Jedna, ta na samym skraju, należy do Antczaków. On, naukowiec, często tu pracuje.

Druga to własność Skrobiszewskich. Ci przez cały wrzesień tu nie zaglądali. Słyszałem, że pojechali na urlop za granicę. Dwie pozostałe to własność Józefa Mrozika, grubej ryby z administracji, i emerytowanego działacza Skupiń-skiego. On tu często bywa.

- A Antczakowie?

- Całe lato siedzieli. On nawet parę razy do mnie zaglądał.

Skarżył się, że jacyś chuligani się włóczą i spokój mu zakłócają.

Kazałem moim ludziom, żeby mieli oko na ten lasek.

- I co?

- Przymknęliśmy paru pijaczków, którzy w tym lasku rozrabiali. Ale że poza krzykami i śpiewem niczego nie można im było udowodnić, po rozprawie w kolegium dostali niewielką grzywnę za zakłócenie spokoju.

- Macie ich nazwiska? Kiedy to było?

- Nie tak dawno. Można sprawdzić w rejestrze.

ROZDZIAŁ XVII

Witam, poruczniku. Co znów pana sprowadza w moje skromne progi? - Szostek jest jeszcze w piżamie, ręką przeciera zaspane oczy. - Dziwi się pan zapewne, że dochodzi południe, a ja w rosole. Ale nie mam do czego się spieszyć. Po śmierci wuja wszystko się w firmie rozprzęgło. Okazuje się, że jest to możliwe nie tylko w państwowym przedsiębiorstwie...

Nie wygląda pan na specjalnie zmartwionego możliwością utraty podstaw egzystencji

- rzuca Korcz z półuśmiechem.

Bo nie tracę tych podstaw. Przeciwnie. Tym razem Korcz jest zaskoczony.

Jak to przeciwnie?

- Wczoraj dostałem zaproszenie do Sztokholmu. Od Helen Engberg. Ale tak naprawdę to zapraszającą jest jej córka. Wie pan zapewne, że jeszcze za życia wuja Eni często tu przyjeżdżała.

Teoretycznie studiowała zaocznie filologię polską, a praktycznie wprowadzałem ją w świat. I tak się zaczęło. Wczoraj zatelefonowała, że matka zgodziła się wreszcie na nasz Ślub i wczoraj też nadeszło pocztą zaproszenie. Żenię się proszę pana.

Żenię się i jestem urządzony.

- Winszuję. A panna Zosia?

- To był tylko epizod. Wuj chciał, żebym na wszystko miał oko. Więc miałem. Także za jej pośrednictwem. Ona mi nawet użyczyła alibi na ten niedzielny wieczór. Tak naprawdę to spędziłem tych kilka krytycznych godzin na poczcie. Czekałem na rozmowę z Eni. A później gadaliśmy chyba z godzinę.

- Dlaczego nie dzwonił pan z domu?

Ktoś mógł przyjść do mnie. Mógł wpaść wuj. Nie chciałem, żeby się nasze plany przedwcześnie wydały. A potem, jak się o śmierci wuja dowiedziałem, nie chciałem, żeby Eni była zamieszana w tę historię. Przesłuchania i te rzeczy. Może pan zresztą sprawdzić na Poczcie Głównej. Muszą mieć odnotowaną rozmowę i czas oczekiwania.

Ma pan zamiar prowadzić dalej firmę „Activ”?

Nie wiem. Na razie nie ja dysponuję kapitałem. W Sztokholmie też jest firma, której nie będzie miał kto prowadzić. One nie mają bliskich krewnych.

Czy zna pan Wacława Antczaka i Adama Zielińskiego?

- Są w radzie nadzorczej „Activu”.

Tyle to i ja wiem. Mógłby mi pan coś o nich powiedzieć?

Każda firma prywatna musi mieć dobrą obudowę. Po to właściwie tworzy się radę nadzorczą. Antczak ma niewąskie chody na szczeblach, a Zieliński w resorcie budownictwa. I nie tylko. Obaj znają wielu liczących się ludzi.

- Na liście płacy żaden z nich nie figuruje.

- Dostają premie. Z zysków. Któż fatyguje się za darmo?

- W jakiej wysokości?

- Z takich rzeczy wuj mi się nie zwierzał. Nie miał zwyczaju z kimkolwiek rozmawiać o sprawach finansowych firmy. Sam się tego dowiedziałem. Od Zosi.

Korcz idzie na Poczta Główną. Prosi o informację, czy i o której godzinie w niedzielę trzeciego października łączono Warszawę ze Sztokholmem, z numerem Engbergów.

Po chwili uzyskuje żadaną wiadomość. Rozmowa została zamówiona o osiemnastej trzydzieści. Połączenie uzyskano o dwudziestej trzeciej.

- Na linii był tłok - wyjaśnia kierowniczką. - Za rozmowę zamawiający zapłacił pięć i pół tysiąca złotych.

Ile czasu trwała rozmowa?

Okolo godziny.

Korcz wylicza czas. Szostek nie wchodzi w grę. Znow odpadł jedyny podejrzany, wzdycha. Moze porozmawiać z Antczakiem.

Powinien sporo wiedzieć, skoro przyjaźnił się z Józwińskim i Engbergiem. Tylko czy zechce mi pomóc?

Drzwi otwiera mu mężczyzna średniego wzrostu, lekko łysiejący.

Bystre niebieskie oczy lustrują przybysza.

Pan do mnie? - Głos jest ostry, metaliczny.

Do pana Antczaka. Jestem z milicji - wyjaśnia Korcz wyciągając legitymację.

W jakiej sprawie? -? Antczak trzyma gościa w przedpokoju.

W sprawie włamania do państwa Kulińskich. - Taką legendę uzgodnił ze Stawskim.

Liczył, że w ten sposób będzie łatwiej prowadzić rozmowę.

-? Nie mam nic do dodania. Zrobiłem, co do mnie należało.

Zawiadomiłem milicję. O ile wiem, włamywacze zostali zatrzymani.

- I zupełnie nie interesuje pana ta historia?

Nie. - Antczak wyraźnie nie ma chęci na rozmowę.

Oni pomylili adres - rzuca Korcz. - Mieli się włamać do pana.

Jak to pomylili?! Proszę, niech pan wejdzie.

Pokój, do którego Antczak wprowadza gości, ma co najmniej dwadzieścia parę metrów kwadratowych. Pod oknem duże mahoniowe biurko, dwie ściany zastawione regałami z książkami, na trzeciej makata, a na makacie kolekcja białej broni. Są tu szable, sztylety. Z różnych epok. Nad biurkiem, po obu stronach, dwa pistolety skałkowe.

Widzę, że pan kolekcjonuje broń - stwierdza Korcz, oglądając z zainteresowaniem te okazy.

Owszem. Jak to było z tym pomylnym adresem? - Gospodarz wraca do interesującego go tematu.

Na kartce, którą znaleźliśmy przy włamywaczach, wśród innych nazwisk i adresów było pańskie nazwisko. Wyjaśnili, że typowali do włamań tylko „nadzianych”.

Co to znaczy „nadzianych”. Niech pan mówi po polsku.

Bogatych. Mających pieniądze. Szmał, jak to określali podczas przesłuchań.

Nie jestem bogaty - protestuje gwałtownie, zbyt gwałtownie. - Jakim cudem znalazłem się na tej liście? - Jest wyraźnie zirytowany i zaniepokojony.

Wśród innych nazwisk i adresów był także adres pańskich przyjaciół, Józwińskich - strzela ciekaw, wrażenia.

Twarz Antczaka nabiega purpurą.

- Na jakiej podstawie pan twierdzi, że to moi przyjaciele? - W głosie ostre tony. -

Sprawdzał pan moje kontakty? Jakim prawem?!

Milicja ma chronić poszkodowanych, a nie ich sprawdzać.

- Sam wiem, co ma robić milicja. - Korcz ma dość tego agresywnego tonu i aroganckiego sposobu bycia. - Po to, by chronić i bronić, jak pan powiada, trzeba wiedzieć kogo i dlaczego.

Jakby zmiękł.

Nie wyjaśniliście, skąd ta banda wzięła nasze adresy? - To brzmi już trochę uprzejmiej. - Ja na pana miejscu od tego bym zaczął.

Zrobiliśmy to, nie czekając na pańskie pouczenie.

A zatem kto nadał tę robotę? - Antczak się niecierpliwi.

Ktoś, kto się orientował w materialnej sytuacji wytypowanych.

Może pan wreszcie powie, czy też mam dzwonić do pańskiego szefa?

Nie musi mnie pan straszyć. Powiedziałbym i bez takiego nacisku. Józwiński junior.

- Ten narkoman?

- Ten narkoman - powtarza jak echo Korcz.

- Trzeba go natychmiast aresztować!

- Nie ma za co. Nie brał udziału we włamaniach. Po prostu wygadał się przed tą paczką. A za to się nie karze.

- Jeśli jest z włamywaczami związany...

On dopiero od nas się dowiedział, że to włamywacze. Są to jego koledzy ze szkoły.

A za narkotyzowanie się też się nie odpowiada? - pyta Antczak.

Na razie prowadzimy śledztwo w sprawie włamań. W Warszawie i miejscowościach podwarszawskich.

- W jakich miejscowościach?

W różnych. Pan ma domek pod Warszawą? - odpowiada Korcz pytaniem na pytanie.

Mam. Dlatego także interesuje mnie ta sprawa.

Czy Józwiński kłamał, mówiąc o przyjaźni łączącej pana z jego rodzicami? - zmienia temat.

To nie ma nic do rzeczy - ucina Antczak odprowadzając gościa do drzwi.

Masz natychmiast zameldować się u szefa - wita kolega wchodzącego do pokoju Korcza.

Naczelnik mnie wzywał? - pyta sekretarkę.

Tak. Pieklił się, że cię jeszcze nie ma. Zły. Dawno go takim nie widziałam. Wchodź

bez zameldowania.

Coś ty znów narozrabiał?

Nie rozumiem. O co chodzi?

- Dzwonił komendant. Mówił, że zasłużonego człowieka, naukowca, potraktowałeś jak przestępcę, tylko dlatego, że posiada duże mieszkanie i domek pod Warszawą.

Imputowałeś mu, że ma nielegalne dochody. I co gorsza, odmówiłeś zamknięcia jakiegoś

włamywacza i narkomana. Zachowywał się w sposób bezczelny. Zresztą możesz sam posłuchać, bo przesłał mi taśmę z tą rozmową. Najpierw jednak wytłumacz, co to wszystko znaczy. Korcz wyjaśnia sytuację. Punkt po punkcie.

Straszył mnie - stwierdza na zakończenie. - Być może boi się o swoją skórę w związku ze śledztwem w „Activie”.

Może masz i rację. Ale nie chciałbym więcej takich skarg.

ROZDZIAŁ XVIII

- Sprawdzisz alibi mieszkańców willi położonych na skraju Magdalenki - zleca Korcz sierżantowi Snopkowi. - Krytycznej niedzieli, w godzinach wieczornych, jedna z nich była oświetlona i coś się tam działo. Narkomani, którzy sobie uwili gniazdko w sąsiedztwie, zeznali, że z tamtej strony doszedł ich odgłos przypominający strzał lub pęknięcie opony.

Słyszeli także szum silnika. Zwróć też uwagę na willę Antczaków. On jest w radzie nadzorczej „Activu”. Miał stałe kontakty zarówno z Józwińskim, jak i z Engbergiem. Tylko jego alibi sprawdzaj dyskretnie. Tak, żeby się nie aorientował, że się nim interesujemy. To nieprzyjemny facet. Rozmawiałem z nim i zaraz naskarżył na mnie do komendanta. Ja pojedę do Zielińskiego.

Adam Zieliński mieszka w alei Róż. Już sama ulica - wiadomo, skupisko notabli -

określa jego pozycję.

Gospoia w białym fartuszkowi wprowadzał gościa do saloniku, umeblowanego kruchymi, obitymi brokatem mebelkami. Ludwik XIV, ocenia Korcz, który jeszcze za studenckich czasów żywo interesował się architekturą i wystrojami wnętrz z różnych epok.

Owe zainteresowania wyniósł z domu, gdyż jego ojciec był znanym wrocławskim architektem. Brał udział w odbudowie wrocławskich zabytków. Marzył, że syn pójdzie w jego ślady. On jednak dokonał innego wyboru. Zawód wydawał się romantyczny, pociągała go przygoda, niebezpieczeństwo z nią związane. W praktyce z owej przygody niewiele zostało.

Żmudna codzienna harówka, pozbawiona kolorytu. Ale cofać się - wstyd. Został więc i po trudnym okresie przystosowywania się do nowego środowiska i dyscypliny polubił swój zawód, znalazł w nim sens.

Rodzice zostali we Wrocławiu, a on ruszył w świat. Wiedza nabyta w domu została.

Teraz więc patrząc na białe-złote mebelki, białe-złoty miękki dywan pokrywający mozaikowy parkiet, myśli o ludzkich słabościach i snobizmach.

Rozmyślania przerywa mu wejście właściciela tych wspaniałości.

Zieliński, mały, gruby, łysy mężczyzna w okularach, bez entuzjazmu wita zapowiedzianego telefonicznie gościa.

- Pan chciał ze mną mówić?

W sprawie dwóch zabójstw -. wyjaśnia krótko Korcz. - Kiedy pan ostatni raz widział Engberga i Józwińskiego?

Nie widziałem żadnego z nich w ciągu ostatniego miesiąca.

Żaden z nich się z panem nie skontaktował? Jest pan przecież w radzie nadzorczej.

Z mojej obecności w radzie nie wynikają potrzeby stałych kontaktów. A przez ostatni miesiąc przebywałem w szpitalu, w Aninie. Dwa dni temu wróciłem do domu. Żona mi mówiła, że telefonował do mnie inżynier Józwiński.

- Kiedy telefonował?

- Pan będzie łaskaw spytać żonę. Zaraz ją poproszę. - Otwiera drzwi. - Aniu, pozwól na chwilę.

Ania, pięćdziesięcioletnia, wysoka, gruba kobieta, wtacza się raczej niż wchodzi do saloniku.

- Co się stało, kochanie?

- Pan porucznik z urzędu stołecznego - przedstawia Korcza Zieliński - chciałby wiedzieć, kiedy telefonował do mnie Józwiński.

- Zaraz sprawdzę. Wszystkie telefony do ciebie zapisywałam w kalendarzyku. -

Kobieta wycofuje się i po chwili wraca z biurowym terminarzem w ręku. - Józwiński dzwonił

w czwartek wieczorem. Trzydziestego września. Powiedziałam mu, że jesteś w szpitalu.

Kazał cię pozdrowić.

- Dziękuję państwu uprzejmie.

Żegna się z gospodarzami. Nie ma tu czego szukać. Jest tylko ciekaw, czy Zieliński kogoś z firmy zawiadomi o jego, Korcza, wizycie.

Sięga po raporty wywiadowców z poprzedniego dnia, sprawdziwszy przed tym telefonicznie, czy pacjent nazwiskiem Adam Zieliński przebywał w szpitalu w Aninie w ciągu ostatniego miesiąca. Ordynator potwierdza. Sytuacja jest wyjaśniona.

Odkłada słuchawkę, wraca do raportów. Jeden z wywiadowców przeprowadził

rozmowę z Józwińską. Skarżyła się, że dzwonił do niej Antczak. Z pretensjami. Najpierw o syna, że narkoman i włamywacz, że nadał swoim kolegom, takim samym jak on wykolejeńcom, jego, Antczaka, adres. Że tylko przez przypadek nie został okradziony. Potem posypała się seria

impertynencji z tego powodu, że poinformowała milicję o łączących ich przyjacielskich stosunkach. Przez nich ma tylko kłopoty.

Antczak. Gdyby założyć, że to właśnie do niego wybrał się Józwiński krytycznego wieczory? Skoro byli zaprzyjaźnieni i Józwiński go ściągnął do firmy, mógł liczyć na jego pomoc czy interwencję u Engberga. Istotne było więc wyjaśnienie, czy Antczakowie byli tego wieczoru w swojej willi? A gdyby nawet tak było, to czy Antczak mógł wchodzić w grę jako potencjalny podejrzany?

Dlaczego Antczak miałby zabijać Józwińskie-go? Obaj jechali na tym samym wózku.

Wprawdzie Józwiński stracił świetną pracę, ale jakie zagrożenie mógł stworzyć dla Antczaka w sytuacji, gdy obaj wiedzieli o sobie wszystko? O lewych interesach i interesikach, o łapówkach. Ujawnienie tego stwarzało, bo stwarzać musiało, obustronne zagrożenie. Obaj mieli się w rękę.

To było raczej oczywiste w świetle tego, co dotychczas ustalił na temat sposobów funkcjonowania firmy „Activ” i związanych z nią ludzi. Poza tym co do wzajemnych związków łączących Józwińskiego z Antczakiem miałby Engberg? Engberg, kopalnia pieniędzy dla Antczaka. Jaki miałby cel Antczak w pozbyciu się Engberga? Nie pasuje.

Sięga po dalsze raporty. Jankowska wpadła do Malikówny z prośbą o adres domowy dyrektora Zimińskiego. Tłumaczyła, że ma do niego bardzo pilną sprawę. I relacja ze spotkania Jankowskiej z Zimińskim w jednej z warszawskich kawiarni.

Człowiek obserwujący Zimińskiego zdołał nawet zanotować toczącą się przy sąsiednim stoliku rozmowę.

Peter był u mnie z soboty na niedzielę - mówiła kobieta. - Przed wyjazdem do siostry zostawił teczkę z dokumentami. Po jego śmierci otworzyłam ją. Znalazłam interesujące i pana papiery. Jest tam umowa, którą zapewne chciałby pan mieć w rękę...

Zechce mi pani oddać tę umowę? - padło pytanie.

Oczywiście, ale nie za darmo.

Nie za darmo? To znaczy...

- Engberg mnie utrzymywał. Teraz nie żyje. Muszę się zabezpieczyć.

- Chce pani, żebym ja panią utrzymywał?

- Wolę pieniądze. Rzecz leży chyba w pańskim interesie...

- A jeśli się nie zgodzę?

- Musiałabym oddać umowę komu innemu. A nie chciałabym narazić pana na nieprzyjemności. Czekam jutro o siedemnastej. W domu. Proszę przyjść z pieniędzmi.

Z tym raportem w ręku Korcz melduje się u naczelnika.

Za dwie godziny mają się spotkać - mówi.

- Co chcesz zrobić?

- Pojechać na miejsce i natychmiast przeszukać mieszkanie.

Poszkapilem. Powinienem to zrobić po pierwszej rozmowie z Jankowską. Wówczas kiedy mi oświadczyła, że są u niej rzeczy Engberga. Powiedziała wtedy: „pizama i nocne pantofle”. Pytała, czy chcę to obejrzeć. Odmówiłem. Nie przyszło mi do głowy, że on u niej zostawił papiery.

Nie chciał ich pewnie brać ze sobą w drogę - mówi naczelnik.

- Prawdopodobnie zostawił u niej i pieniądze.

Chyba że zamierzał wymienić złotówki na dolary. Funkcjonariusz z patrolu drogowego, który zatrzymał kierowcę zielonego volvo, mówił, że miał on portfel wypchany obcą walutą.

I to możliwe. Kompletuj więc ekipę i jedźcie przeszukać lokal Jankowskiej. Myślę, że od razu parę spraw się wyjaśni. Nie zapomnij wziąć nakazu przeszukania od prokuratora.

Z nakazem w ręku Korcz dochodzi do drzwi wejściowych, gdy słyszy krzyk kobiety:

- Ratunku!

-? Wywalajcie drzwi - poleca towarzyszącym mu funkcjonariuszom.

Rozpędzają się. Walą w drzwi, które wyskakują z trzaskiem. W pokoju wywrócone meble, a Elżbieta Jankowska trzyma się za gardło.

Chciał mnie zabić - mówi z trudem.

Ty szantażystko! - krzyczy Zimiński.

- Zadzwoń po radiowóz - rzuca Korcz Snopkowi. - Niech ich zabiorą do urzędu. Tam złożą wyjaśnienia. A my przeszukamy mieszkanie.

Część trzecia

ROZLICZENIA

ROZDZIAŁ I

- Przyszedłem do ciebie po radę. - Korcz rozsiadł się wygodnie w pokoju Bieżana i pomału wyciąga z teczki dokumenty. - Podczas przeszukania u dziewczyny, utrzymanki szwedzkiego obywatela, zakwestionowaliśmy różne dokumenty.

Chciałbym, żebyś się z nimi zapoznał. Może to być coś z twojej parafii. Popatrz.

Bieżan rzuca okiem na podaną mu przez Korcza kserokopię i oczom. nie wierzy. Ma w ręku ksero tego samego rozdziału pracy cybernetycznej, który znaleźli celnicy.

- Niemożliwe - mruczy sam do siebie przeglądając uważnie stronicę. - Te same wzory, te same fragmenty tekstu. Teraz jest jasne, że Hans Mayer nieprzypadkowo wywoził ten maszynopis.

Zapewne sam opakował w ten papier drobiazgi. Oddałeś mi ogromną przysługę -

podnosi głowę znad przeglądanej pracy.

-

Umożliwiłeś mi ruszenie śledztwa z martwego punktu. Opowiadaj po kolei, co i jak.

Interesujące. Bardzo interesujące - mówi po wysłuchaniu Korcza.

- Przejmiesz tę sprawę?

Korcza nie jest zmartwiony taką perspektywą. Nieraz już prowadzili razem różne sprawy i do niego im się układała współpraca. Uzupełniali się. On przywykł do gromadzenia faktów i tylko faktów, Bieżana całe życie pasjonowało rozszyfrowywanie motywów ludzkiego działania i tą drogą dochodził do swoich ustaleń. Ustaleń z reguły trafnych. A on, Korcza, właśnie w tej sprawie nie potrafił odkryć motywów działania. Albo inaczej, żaden motyw nie pasował do obydwu zabójstw.

Wiesz - dorzuca - dobrze by było. Mam z tym same kłopoty.

Jeśli jakieś założenie pasuje mi do jednego zabójstwa, w drugim jest raczej wykluczone, a oba zdarzyły się jednego dnia, mniej więcej w tym samym czasie i wszystko wskazuje na ten sam „modus operandi”. I jak tu w takiej sytuacji zakreślić choćby potencjalny krąg podejrzanych? I ta dziewczyna, u której prowadziłeś przeszukanie nie wchodzi w grę?

Nie. Ona jest z rzędu pań kategorii „lux”. Żyła z Józwińskim, potem ten odstąpił

ją Engbergowi. Engberg z kolei urządził ją: miał szkanie, futra, samochód, niedrobne pieniądze na drobne, ale luksusowe wydatki i równie luksusowe życie.

Zależało jej na Engbergu. Gdyby wiedziała o grożącym mu niebezpieczeństwie, uprzedziłaby go ze względu na swój własny interes.

Ale mogła komuś wypaplać, kiedy bywa u niej, kiedy i na jak długo się spotykają.

Reszta jest dziecinnie łatwa. Z kim utrzymywała stałe kontakty?

Nie wiem. Nie badałem jej kontaktów. Jako potencjalnej podejrzanej nie brałem w rachubę.

Ale mogła mieć kontakt z kimś, kto wchodzi w rachubę. Warto przesłuchać ją pod tym kątem. Zatrzymaliście ją?

Tak. Pod zarzutem szantażu i kradzieży należących do Engberga pieniędzy.

Zakwestionowaliśmy u niej trzydzieści milionów złotych. Były ukryte w bieliźniarce.

Engberg w swoim notatniku zapisał kwotę, którą jej wypłacił. Więc te trzydzieści milionów zostawił u niej razem z papierami na kilkudniowe przechowanie.

Pozostałe pieniądze albo ich lwią część miał zapewne przy sobie, kiedy wyjeżdżał w niedzielę rano do siostry. O piętnastej wracał do Warszawy, bo, jak mówił siostrze, był z kimś umówiony na siedemnastą. Zakładam, że może miał zamiar wymienić złotówki na dolary.

Najprawdopodobniej. Bywa, że tak funkcjonują właściciele firm polonijnych, prywatnych przedsiębiorstw handlu zagranicznego - wtrąca Bieżan. - Po wymianie zazwyczaj wywożą walutę. Ale przerwałem ci. Co dalej z tą dziewczyną?

- Wyszło na jaw, że skłamała, twierdząc, że ostatni raz widziała Engberga w piątek rano. Poprzednio zeznała, że nocował u niej z czwartku na piątek i w piątek rano wyszedł.

Tymczasem był w jej mieszkaniu także w nocy z soboty na niedzielę i prosto stamtąd pojechał do Łęczycy. W ten sposób odtworzyłem jego kontakty do chwili wyjazdu z Łęczycy, czyli do piętnastej i plus minus dwie godziny później, tyle czasu powinna zająć mu droga do Warszawy. Dopiero później siad mi się gubi, aż do chwili zgonu. Nie udało mi się ustalić, gdzie ani z kim był umówiony.

Może to nie mieć istotnego znaczenia dla sprawy, bo niewykluczone, że wymieniał

złotówki na walutę. Funkcjonariusz z patrolu drogowego, który na trasie między Warszawą a Kampinosem zatrzymał kierowcę zielonego volvo, legitymującego się paszportem Engberga i zapewne korzystającego także z jego portfela, twierdzi, że ten kierowca wyciągnął portfel wypchany obcą walutą i gme-rał w nim niezdarnie szukając złotówek.

- Opisał wygląd kierowcy?

- Bałwan! Nie przyjrzał mu się dokładnie. Zauważył tylko, że chyba starszy niż na zdjęciu. Na zdjęciu dołączonym do wniosku o wizę Engberg wygląda dość młodo, najwyżej na czterdzieści, czterdzieści parę lat.

W ten sposób masz jeden element do rysopisu sprawcy. Możesz zakreślić krąg od strony wiekowej.

Niby tak. Ale diabli wiedzą, jak jest naprawdę. Funkcjonariusz mówił, że mu się specjalnie nie przyglądał. Ani jemu, ani pasażerowi.

Żaden odpowiadający tym parametrom mężczyzna nie przewinął ci się w śledztwie?

Korcz kręci głową przecząco. Jednak po chwili zastanowienia mówi trochę do Bieżana, trochę do

siebie: no, może pasowałby Zimiński.

- Dyrektor z „Activu”?

- Tak. Jest wprawdzie wyższy od Engberga, ale z wozu nie wysiadał. Mógł zrobić wrażenie starszego. Tylko jaki miałby motyw? Śmierć Engberga stawia go w sytuacji podbramkowej, bo o tym, że był cichym współnikiem firmy, nikt nie wiedział. Nawet Józwiński. Gdyby zdawał sobie z tego sprawę, na pewno by nie zaryzykował wyrzucania go z firmy. Zimiński znalazł się teraz w szczególnie kłopotliwej sytuacji. Poza umową nie ma żadnego oficjalnego dokumentu. Jeśli zechce dochodzić sądownie zwrotu włożonych kapitałów, to wystawi się pod nóż Izby Skarbowej...

- Zatrzymałeś go?

Nie. Wprawdzie Jankowska oskarża go o usiłowanie zabójstwa, ale on zaprzecza, twierdząc, że szantażem doprowadziła go do wściekłości. Dlatego ją uderzył. Między nami mówiąc, nie dziwię mu się. Nie lubię szantażystów. A że śladów obrażeń u niej nasz lekarz nie stwierdził, więc to oskarżenie nie ma podstaw. Sprawa „lewej” umowy to parafia Izby Skarbowej. Oni z pewnością dobiorą mu się do skóry. Mnie to nie interesuje.

Czy Zimiński miał kontakty z firmami zagranicznymi lub ich przedstawicielami?

Nie sprawdzałem tego od tej strony. Ale niewykluczone. Wiele lat spędził na placówkach zagranicznych. W firmie „Activ” wszyscy bardziej znaczący, tak jak ich kontrahenci, wyjeżdżali za granicę służbowo bądź prywatnie.

Interesuje mnie ta sprawa. Posiedź u mnie. Porozmawiam z Ziętara. On musi podjąć decyzję. - Bieżan wychodzi.

Korcz przerzuca leżące na biurku gazety. Niecierpliwi się. Może to dwie części tej samej sprawy, dochodzi do wniosku, zestawiając w myśli informacje Bieżana ze swoimi.

ROZDZIAŁ II

- Major Jerzy Bieżan - przedstawia się przystojnej sekretarce - dyrektora przedstawicielstwa zachodnioniemieckiej firmy. - Jestem umówiony na dziesiątą. Czy byłaby pani tak uprzejma i zawiadomiła szefa, że właśnie przyszedłem.

Sekretarka rzuca okiem na stojący na jej biurku elektroniczny zegar.

- Przyszedł pan o pół minuty za wcześnie - konstatuje z miłym uśmiechem. - Chwila i zaraz pan wchodzi.

- Bez meldowania?

Nie. Zaanonsuję pana z wybiciem godziny. U nas się ceni czas gości i czas szefa firmy. Chodzi o to, by nikt nie stracił niepotrzebnie nawet minuty.

Świetnie pani mówi po polsku - zagaja rozmowę, ale kobieta milczy. Po chwili podnosi słuchawkę:

Przyszedł pan major Biezan - mówi. - Proszę - gest ręki w kierunku drzwi do gabinetu.

Co pana do nas sprowadza? - pyta witając gościa szef przedstawicielstwa, szczupły, wysoki mężczyzna o siwiejących skroniach. - Whisky, koniak? Kawa?

Proszę o kawę. Chciałbym wiedzieć - od razu przechodzi do sprawy - czy pan Hans Mayer jest stałym łącznikiem między waszym przedstawicielstwem a centralą firmy w Berlinie?

- Nie. Zastępował chorego kolegę. A mógłbym wiedzieć, o co chodzi? W czym mogą pomóc?

- Pan Mayer został zatrzymany na granicy przez naszych celników, którzy zakwestionowali wywożony przez niego maszynopis. Ten właśnie -? wyciąga ksero z teczki. -

Czy pan wie coś na ten temat?

Johann Aerbach uważnie przegląda tekst. Po dłuższej chwili odzywa się.

- Sprawy pana Mayera nie znam. Nikt nas o tym nie powiadomił. Ale ten materiał już widziałem.

Ta informacja elektryzuje Bieżana.

- Kiedy?

- Dwukrotnie. Pierwszy raz chyba z pół roku temu. Zgłosił się do nas mężczyzna, który nie wymienił swego nazwiska, ale przedstawił się jako współautor pracy. Przyniósł jej część z pytaniem, czy nas, jako firmę elektroniczną, nie zainteresowałyby tego rodzaju układy elektroniczne. Rzecz wydawała się nam interesująca. Ale że był to tylko wycinek, poprosiliśmy o dostarczenie całości. Dla dokonania oceny i ewentualnej wyceny.

- Czy zjawiał się ponownie z całością i kiedy?

- W połowie września. Przyniósł odbitkę ksero. Znow się nie przedstawił, podkreślił

tylko raz jeszcze, i to dobitnie, że jest współautorem tego opracowania. Nazwiska współtwórcy także nie podał. Miał się zgłosić za parę dni po odpowiedź. Praca okazała się rzeczywiście interesująca. Ten układ mógł znaleźć zastosowanie w wielu rozwiązaniach. Ale nie podobał mi się sposób załatwiania transakcji. Było w nim coś podejrzanego. Pan rozumie, jesteśmy przedstawicielstwem poważnej firmy. Nie zamierzamy w jakikolwiek sposób wchodzić w konflikt z władzami lub z wymiarem sprawiedliwości. Nawet nagraliśmy tę rozmowę. Na wszelki wypadek. Jeśli życzy pan sobie możemy przesłuchać tę taśmę.

Życzył sobie. Wysłuchał nagrania z napiętą uwagą.

Zbulwersowało go zakończenie rozmowy.

W czym imieniu pan występuje? - pyta dyrektor.

W swoim i współautora. Jest nim profesor Żmudziński. To nazwisko chyba coś panom mówi...

Że też się nie połapałem od razu, że to może chodzić o Żmudzińskiego, robi sobie wyrzuty Biezan, wracając do urzędu.

Taśmę do przegrania ma w teczce.

ROZDZIAŁ III

- Proszę mi wybaczyć, że panią znów nachodzę. - Biezan całuje w rękę starszą panią. -

Ale zależy mi na ustaleniu, co spowodowało nagłą śmierć profesorowej, nie tylko ze służbowego obowiązku. Śledztwo w tej sprawie nie zostało wszczęte, jej śmierć została uznana za naturalną, ale nie daje mi spokoju myśl, że jej lęki, o których mi mówiła, mogły mieć całkiem realne uzasadnienie.

Pani Janina Opałko sadza gościa przy nakrytym białą serwetą stole, przynosi mu herbatę, stawia ciasteczka. Sama przysiada na wersalce.

Mówiła panu o swoich lękach?

Tak. Wydawało się jej, że ktoś buszuje po mieszkaniu w czasie jej nieobecności. Bała się. Nie potraktowałem serio tych obaw, kładłem je na karb wstrząsu po śmierci męża. Ale nie mogę oprzeć się myśli, że coś przeoczyłem. Te uchylone drzwi i ona leżąca w gabinecie.

Dlaczego upadła właśnie tam, a nie przy drzwiach? Czy to możliwe, żeby ona, taka ostrożna i pełna obaw, nie zamknęła za sobą drzwi wejściowych?

To właśnie zwróciło moją uwagę. Pani Maria zamykała je za sobą, przekręcała klucz, a potem słyszałam brzęk łańcucha. Tego ranka spotkałam ją na schodach. Szła po sprawunki.

Z torbą plastikową w rękę. Porozmawiałyśmy chwilę na schodach o takich tam gospodarskich sprawach i rozeszłyśmy się na ulicy. Wróciłam mniej więcej po godzinie.

Drzwi u niej były zamknięte. Nie wiem, kiedy ona wróciła. Nic nie słyszałam. W kilka godzin później, wychodząc do zsypu, zauważyłam, że są uchylone.

Weszłam, jak już panu opowiadałam, i zastałam ją nieżywą w gabinecie męża.

Czy w okresie poprzedzającym śmierć profesora i później nie zauważyła pani nikogo, kto w czasie nieobecności jego żony otwierałby drzwi do tego mieszkania?

Myśli pan, że ktoś miał klucze do mieszkania profesorostwa?

- Mogli komuś zostawić i zapomnieli odebrać.

- Kiedyś mieli służącą. Ona dysponowała trzecią parą kluczy.

Starsza kobieta, w moim wieku. Zajmowała się domem w zamian za mieszkanie. Ale potem jej córka, mieszkająca kątem, dostała przydział i ona przeprowadziła się do niej.

- Nie wie pani, jak się nazywała?

Znam ją tylko z imienia. Wszyscy do niej mówili „pani Zosiu”.

Była taka szczęśliwa, że na stare lata ma własny kątek. Pani Maria bardzo jej żałowała, ale nikogo na jej miejsce nie wzięła. Sama dawała sobie jakoś radę.

Widziałem w ich mieszkaniu dużo kwiatów. Kto się nimi opiekował w czasie ich nieobecności?

Różnie. Najczęściej ja, ale zeszłego roku zostawili klucze sąsiadce z trzeciego piętra, pani Małgosi Kowalskiej. Prosił mnie, ale my wyjeżdżaliśmy nad morze, tak samo jak oni, w lipcu. Myśli pan, że te klucze mogły trafić do kogoś obcego? - Pani Janina jest domyślna.

- Nie widzę innego wytłumaczenia. Albo ta trzecia para gdzieś jeszcze kursuje, albo ktoś dorobił sobie nowe. I mógł je później wykorzystać.

Pani Janina wzrusza ramionami.

Po co? Żeby okraść ich mieszkanie? Nie mieli tam nic cennego.

Oni żyli bardzo skromnie. Sam pan widział. A na książki i te jego papierzyska żaden złodziej by się nie połaszczył.

A gdyby założyć, że wróciwszy do domu zastała w mieszkaniu kogoś obcego i stąd ten śmiertelny atak serca? Nie sądzi pani, że to możliwe?

I ten ktoś ulotnił się zostawiając uchylone drzwi? Zatrzasnąłby je chyba za sobą.

A może nie chciał, żeby ktoś zwrócił uwagę na trzaśnięcie. Dom jest akustyczny. U

pani na pewno byłoby słychać. Jeśli słyszała pani brzęk zakładanego przez profesorową łańcucha... Może działał w panice?

Mogło być i tak - mówi wolno kobieta. - Tylko nie rozumiem, po co miał się tam ktoś zakradać.

Nie wyjaśnia tej wątpliwości. Ani ona, ani jej rodzina nie wchodzi w rachubę. Żadne z nich nie orientowało się w wartości dorobku profesora.

Kim jest ta sąsiadka?

Urzędniczka. Bardzo przyzwoita osoba.

Pracuje w księgowości jakiejś firmy polonijnej.

- Mieszka sama?

- Tak. W zeszłym roku jakiś facet stale u niej wysiadywał, ale od pewnego czasu już go nie widuję. To był elegancki i chyba dobrze sytuowany mężczyzna. Może się rozeszło po kościach. I tak bywa - kończy filozoficznie.

Bieżan żegna rozmowną kobietę i idzie na górę do pani Kowalskiej. Drzwi otwiera przystojna szatynka.

- Pan do mnie? W jakiej sprawie?

Chciałbym prosić o chwilę rozmowy. Chodzi mi o pani byłą sąsiadkę, Żmudzińską.

Rozmawiali już ze mną pańscy koledzy, ale niewiele mogłam im powiedzieć.

Wszystko co wiem, to opowieści zasłyszane od sąsiadów. Żaden ze mnie świadek ani informator - dorzucą z uśmiechem. - Słyszałam, że pani Żmudzińska umarła na zawał.

Czyżby to była nieprawda?

- Dlaczego pani tak sądzi?

Dlatego że pan się tą sprawą jeszcze interesuje - pada szybka odpowiedź.

Interesuję się, ale raczej prywatnie - wyjaśnia. - Byłem zaprzyjaźniony z profesorstwem. A pani Maria kiedyś napomknęła, że ktoś buszuje w jej mieszkaniu.

Chyba mnie pan nie podejrzewa? Zresztą jakim cudem dostałabym się do środka? A prawda, już rozumiem - mówi po chwili zastanowienia. - Dowiedział się pan od kogoś, że w zeszłym roku miałam klucze od tego mieszkania. Czyż nie tak? - uśmiecha się porozumiewawczo.

A miała pani? - odpowiada Bieżan pytaniem na pytanie.

Miałam w lipcu. Państwo Żmudzińscy wyjeżdżali na trzytygodniowy urlop i profesorowa prosiła, żebym podlewała jej kwiatki. Sąsiedzi mieszkający naprzeciwko też gdzieś wyjechali, więc pani Maria przyszła do mnie z tą prośbą. Zgodziłam się. To byli mili, kulturalni ludzie. Wrócili, oddałam klucze i tak to się skończyło. Zapewniam pana, że nic im w tym czasie nie zginęło i że nie dorobiłam sobie kluczy. O to panu chodziło?

Teraz śmieje się Bieżan.

Jest pani bardzo domyślna. Ale właściwie to niezupełnie o to mi chodziło. A teraz niedyskretne pytanie: gdzie pani pracuje?

Nie ustalił pan jeszcze tego? - Pani Małgorzata patrzy na niego z półuśmiechem.

Niech sobie pani wyobrazi, że nie. Powiedziałem już, że interesuję się tą sprawą prywatnie.

Powiem więc panu prywatnie, że pracuję jako zastępca głównego księgowego w rozlatującej się firmie polonijnej „Activ”. Słyszał pan coś o tym służbowo?

Kiwa głową.

To firma, w której zdarzyły się dwa zabójstwa - mówi. - To głośna sprawa. - Ona jest stamtąd. Ale traf. Szostek i Antczak byli związani z domem profesorostwa. Musiała się z nimi stykać.

- Dlaczego firma się rozlatuje? - pyta, udając, że nie zna szczegółów.

Właściciel zginął tragicznie. W tej sprawie, o ile wiem, trwa śledztwo. Sama jestem ciekawa, kto ich zabił i dlaczego. W firmie o niczym innym się nie mówi. A że Urząd Skarbowy już zabezpieczył nasze ruchomości i zablokował konta na poczet należności państwowych, więc mówi się o likwidacji. I tak wszyscy żyjemy w niepewności.

Jak się pani dostała do tej pracy? Chyba przez znajomości - mówi ni to pytająco, ni to twierdząco.

Zaangażował mnie główny księgowy. Kiedyś już razem pracowaliśmy. Znałam także pana Jóźwińskiego, byłego pełnomocnika.

To znaczy, że obaj wierzyli w pani dyskrecję.

Sądzi pan, że prowadziliśmy lewą księgowość - śmieje się kobieta. - I stąd potrzeba zatrudnienia tylko wtajemniczonych?”

Jest bystra. Ma refleks, konstatuje Bieżan. To bardzo cenna znajomość. Niejednego będzie można się od niej dowiedzieć.

Nie wybrałaby się pani ze mną na kolację? - pyta pół żartem, pół serio. - Jestem głodny, a nie lubię samotnych posiłków.

Mogę panu coś u siebie przygotować - pada kontrproponycja.

- Wolałbym restaurację.

-? Nie za wcześnie na restauracyjny podryw? -? Na podryw nigdy nie jest za wcześnie

- oświadcza Bieżan z udaną powagą.

- Idziemy?

ROZDZIAŁ IV

Jednym szarpnięciem rozrywa kopertę. Wyjmuje opinię przygotowaną dla potrzeb śledztwa przez ekspertów, cybernetyków z PAN-u. Czyta ją uważnie.

Eksperci zastrzegają na wstępie, że ze względu na tempo przygotowywania opinii o pracy profesora, pracy, której ocena wymaga długotrwałych studiów i badań, są w stanie stwierdzić jedynie, że przedstawiony im maszynopis zawiera cybernetyczną formułę schematu urządzenia, które profesor nazwał „Poliglota”, umożliwiające dokonywanie tłumaczeń z dowolnego języka i przekładów na dowolnie wybrany. Rewelacyjność pomysłu polega na różnorodnych możliwościach zastosowań. Przy pewnych określonych przez profesora modyfikacjach w zasobach komputerowej pamięci urządzenia to może służyć do selekcji i analizy informacji dla celów nawigacyjnych, wojskowych itp.

Owa skrótowość, pobieżność opinii, był na to z góry przygotowany, pozwoliła jednak na orientacyjną ocenę wartości pomysłu profesora. I nie tylko tego.

Jeden z powołanych przez niego ekspertów dla zorientowania się w możliwościach i zainteresowaniach firmy „Logos” przyniósł komplet prospektów urządzeń komputerowych przez nią produkowanych. Tej bowiem firmie facet, podając się za współautora, usiłował

sprzedać pracę profesora, pokazując jej część czwartą, czyli ostatni rozdział.

I to dzieło, pozbawione czwartej części, udało się odnaleźć w zbiorach profesora, a udało się tylko dzięki temu, że Adam Żmudziński na obwolutach teczek notował tematy zawartych w nich prac. Tak więc nie czekając końca inwentaryzacji, która się dopiero zaczęła i miała potrwać tygodnie całe, zdobyli niezbędny do uzyskania wstępnych opinii materiał.

Przy okazji trafili na inny schemat układów, umożliwiający konstrukcję urządzenia medycznego, nazwanego przez profesora „Multianali-zatorem”, przeznaczonego do badań analitycznych i umożliwiającego jednoczesne przeprowadzanie dowolnej liczby takich badań.

Wtedy właśnie jeden z ekspertów, czytając omawiane przez profesora na wstępie pracy założenia, skojarzył je sobie z prospektem urządzenia-oferowanego przez firmę

„Logos”. Po porównaniu okazało się, że pomysły były identyczne.

Bieżan kazał zrobić kserokopię pracy i prospektu. Z jednej strony, rozważał, nie można wykluczyć, że ktoś jeszcze wpadł na ten sam pomysł, z drugiej - ta zbieżność dat. Od wdrożenia pomysłu do produkcji seryjnej musiał upłynąć mniej więcej rok. Profesor datował

swoje prace po ich ukończeniu. Ta została zakończona w czerwcu ubiegłego roku. W lipcu profesorostwo wyjechali na urlop. Klucze od ich mieszkania miała pani Małgosia Kowalska.

Wszystko pasowało, tylko Bieżan wolałby, żeby Małgosia nie wchodziła w grę. Ale tylko ona mogła komuś dać te klucze. Albo ktoś bez jej wiedzy wyciągnął je i dorobił

duplikaty. Wolał tę drugą ewentualność. Ale jeśli tak, to w grę mógł wchodzić albo asystujący wówczas pani Kowalskiej - myślał o niej Małgosia - mężczyzna, albo mający styczność z domem profesorostwa ludzie z „Activu”. Wszystko wymagało sprawdzenia.

Sprawdzenia całego tego kręgu, z Małgosią włącznie. A ona podobała mu się. Z

urody, sposobu bycia, myślenia, charakteryzującej ją prostoty i szczerości. Z kim była związana?

Jeśli klucze wykorzystał jej amant - musiał to być cybernetyk, orientujący się w zakresie prac prowadzonych przez profesora, mający z nim stały kontakt.

ROZDZIAŁ V

Obaj z Korczem siedzą u Ziętary. Właśnie skończyli referowanie dotychczasowych ustaleń.

- Z waszych raportów wynika, że obaj utknęliście w martwym punkcie - Ziętara nie podnosi głowy znad kartki, na której swoim zwyczajem rysuje esy-floresy, znak, że słuchał

uważnie swoich podwładnych. - Jerzy wprawdzie posunął śledztwo nieco do przodu, ale tylko w sprawie kradzieży wynalazków profesora.

Wyjaśnił, że jeden z rewelacyjnych pomysłów Żmudzińskiego został

najprawdopodobniej zrealizowany za granicą, a drugi być może jeszcze nie został

wywieziony. Mówię „może jeszcze”, bo skoro naszego Igreka zawiodła droga przez Mayera, a Engberg, który miał zapewne komuś doręczyć kserokopię, został zamordowany, facet z pewnością nie zrezygnował z tej transakcji i szukał innej drogi. Szukał, a może i znalazł jakiś nowy kanał i inną firmę, skoro się zorientował, że w przedstawicielstwie warszawskim potraktowano go bez entuzjazmu. Twoja hipoteza - Ziętara nie patrzy na Bieża-na - że facet dysponuje kluczami do mieszkania Żmudzińskich, wydaje się trafna. Zresztą naj-j prawdopodobniej po opieczętowaniu mieszkania I pozbył się ich.

Teraz są mu już niepotrzebne.! W sumie, jeśli chodzi o samego faceta, mamy rysopis pasujący do kilku tysięcy obywateli w Polsce i mamy jego głos. Wiemy, że był związany z Engbergiem, bo nie sądzę, żeby wziął oni od obcego tego rodzaju materiał.

- Uważasz, że... - przerywa mu Biezan.

Nic nie uważam. - Ziętara nie dopuszczaj go do głosu. - Sądzę, że na podstawie metodl działania można w jakiejś mierze określić por-l tret psychiczny poszukiwanego człowieka. Tej przecież twoja specjalność - uśmiecha się podl nosem. - Ale zrobię to za ciebie. Musi to być człowiek rzutki, o dość dużej znajomości cyber-l netyki, skoro potrafił

wybrać z dorobku profe-l sora „chodliwe” za granicą odkrycia, bezwzględ-l ny, skoro potrafił

zastraszyć starszą kobietę, że aż wywołał u niej zawał. Ten skutek, zakładaj ją, że orientował

się w jej stanie zdrowia, był do przewidzenia. Musi to być człowiek o zim-i nej krwi, umiejący wykorzystać każdą sprzy-l jającą okoliczność i każdą znajomość.

Choćbjl ta historia z kluczami. Człowiek, który może na-J wet zabić z zimną krwią. I z równie zimna krwią usunąć wszelkie ślady swego działania.

Ten portret pasowałby mi do sprawcy za-1 bójstw Engberga i Józwińskiego - mówi wol-1 no Korcz. - Trzeba dużo zimnej krwi, żeby jechać cudzym wozem, z cudzym paszportem, z jednym trupem na tylnym siedzeniu, a z drugim w bagażniku.

- Skoro mówisz o tych zabójstwach - przerywa Korczowi Ziętara - to wśród zaplanowanych dalszych czynności trzeba by uwzględnić ponowną wizję w Puszczy Kampinoskiej. W miejscu i okolicy miejsca znalezienia zwłok. Mogłeś za pierwszym razem coś przeoczyć. Jeśli broń znaleziona w bagażniku wozu razem ze zwłokami nie była tą, z której sprawca strzelał do Józwińskiego, to być może wrzucił ją tam dla zmylenia śladów, wiedząc, że jest nie do zidentyfikowania. Jednocześnie jednak należy przypuszczać, że pozbył

się broni, która była narzędziem zbrodni.

A najprędzej mógł to zrobić w puszczy. Musiał zdawać sobie sprawę, że nikt nie będzie w stanie odszukać jej w lesie, że nikt nawet nie pomyśli o takich poszukiwaniach.

Choćby dlatego, że zakopane tam zwłoki nie noszą śladów użycia broni palnej jako narzędzia zbrodni. Tak powinien był rozumować, jeśli mój portret psychologiczny odpowiada rzeczywistości. Trzeba więc przeszukać kawałek lasu wykrywaczem metali. Nie szukajcie jednak w zbyt dużym promieniu - dorzuca, gdy już obaj stoją przy drzwiach. - Sprawca z pewnością nie odszedł daleko. Było ciemno, nie znał lasu, chciał się jak najszybciej ulotnić.

- On ma rację. Jedziemy na oględziny - decyduje Biezan. - Jeszcze dziś. Jest wcześnie, dopiero dziesiąta.

Korcz kiwa głową bez słowa. I jemu argumentacja Ziętary trafiła do przekonania. I on także chciałby pojechać tam jak najprędzej.

Tyle już czasu ślimaczy się sprawa. Czasu, który działa na korzyść sprawcy.

Trafisz w to miejsce? - pyta Biezan, gdy już wjeżdżają na drogę wiodącą do Palmir.

Tak. - Teraz Korcz przejmuje prowadzenie. - Za zakrętem zjeżdżamy w utwardzoną drogę - mówi do kierowcy. - Stań tutaj.

Dół, pozostałość po wykopanych zwłokach, nie został jeszcze zasypany. Obok piętrzy się znak orientacyjny: kopczyk ziemi.

Ekipa rozpoczyna pracę. Posuwają się wolno, krok za krokiem.

Jak dotąd wykrywacz metali ani drgnie.

Drugie nieco szersze koło. Przecina je rów pełen mulistej wody.

Buty ślizgają się. Jest grząsko.

- Bagienko - mruczy któryś.

- A może broni nie zakopał, tylko wrzucił do rowu - odzywa się Korcz. - To było przecież najprostsze wyjście.

Idą wolno wzdłuż rowu. Po kilkunastu krokach strzałka wykrywacza porusza się.

Podniecenie ogarnia ekipę. Technik z wykrywaczem wciąga długie gumowe buty, kombinezon, wchodzi do rowu. Długo w nim szpera.

Wreszcie prostuje się. Z triumfem dzierży w dłoni obłocone żelastwo. - Jest.

ROZDZIAŁ VI

Już wszystko wiemy. Mauser, siódemka starego typu, z początku dwudziestego wieku.

Zezwolenia na tę broń nie wydawano, nie jest więc u nas rejestrowana. - Korcz wraca podniecony odkryciem. - Eksperci Zakładu Kryminalistyki twierdzą, że u nich też pistolet nie jest rejestrowany.

Strzelano z niego? - Bieżan podnosi głowę znad rozłożonych na biurku akt.

Tak. Są osmaliny w lufie. Pocisk pasuje. Z tego pistoletu został zabity Józwiński. Już nie ma wątpliwości. Wiesz, ciągle nie rozumiem motywów tego zabójstwa, ani zabójstwa Engberga.

Sprawdziliśmy ludzi, których usunął z firmy Józwiński. Mają żelazne alibi. Zresztą nic nie stracili na zmianie pracy. Dobrzy fachowcy, więc kupiła ich podobna firma, nawet za lepsze pieniądze. Innych potencjalnych podejrzanych nadal nie widzę.

Myślałem o tym. A Zimiński? On mógłby mieć motyw. Zemsta na Józwińskim, który chciał się go pozbyć, żeby, jak ustaliłeś, wprowadzić na to miejsce swojego człowieka. I na Engbergu, który w pierwszej chwili się na to zgodził. Sądzę, że Zimiński zagroził

Engbergowi, że wycofa ze spółki swoje wkłady.

Te wkłady musiały być niebagatelnej wysokości, skoro właściciel firmy tak szybko zmienił decyzję. Zimiński pasuje też charakterologicznie do tej historii.

- Ale on nie ma pojęcia o cybernetyce.

On nie ma, ale jego syn pracuje w Instytucie Cybernetyki i wykonywał jakieś prace i dla profesora Żmudzińskiego. Mógł orientować się w ich zakresie.

Orientacja to chyba za mało. Musiałby mieć dostęp do rękopisów, do kluczy od mieszkania Żmudzińskich. Miał takie możliwości?

Mógł mieć. Ustaliłem, że to on właśnie i przez jakiś czas obstawiał panią Małgorzatę Kowalską.

- Przykro ci?

Korcz dwa dni temu wpadł wieczorkiem na kolację do Spatifu i właśnie tam natknął się! na Bieżana w towarzystwie przystojnej, eleganckiej kobiety. Bieżan rad nierad zaprosił go do swego stolika i przedstawił towarzysze. Nietrudno było się zorientować, że jest nią] żywo zainteresowany. Wydawał się Korczown trochę speszony tym nieoczekiwanym spotkaniem.

- Robiłeś dobrą minę do złej gry - żartował potem z niego.

- Zepsułem ci słodkie t?te-?-t?te. Miła babka ta twoja Małgosia...

Jaka tam moja? - bronił się Bieżan. - O służbowych sprawach lepiej się gada w takiej niecodziennej atmosferze.

I co ustaliłeś? - spytał pewien, że Jerzy będzie miał poważny kłopot z odpowiedzią.

Wyobraź sobie, że zdobyłem rewelacyjne informacje. Ona podejrzewa, że drugim cichym współnikiem firmy musiał być Antczak.

Aż podskoczył. To rzeczywiście rewelacja.

- Na jakiej podstawie tak sądzi?

Na podstawie wysokości wypłacanych Antczakowi zysków.

Identyczne dostawał Zimiński. Niezależnie od oficjalnej dyrektorskiej pensji. A skoro Zimiński był cichym współnikiem Engberga, to sam wyciągnij wnioski...

W takim układzie... Jeśli ta twoja Małgosia ma rację - wahał się, nie wiedział, jak sprecyzować rodzącą się myśl - można by przyjąć za naturalne, że Józwiński, który ściągnął

Antczaka do firmy, naciąwszy się na sprawie zwolnienia Zimińskiego, szukał oparcia i pomocy u Antczaka. Takie mogło być logiczne wyjaśnienie. Po co Józwiński przyjechał do Magdaleny, dokąd poszedł w niedzielę wieczorem? Możliwe, że w tej sytuacji umówił się z Antczakiem, ale...

Jakieś ale?

Antczak ma alibi na godziny wieczorne krytycznej niedzieli.

Snopek dokonał takiego! półofkjalnego rozeznania. Twierdzi, że Antczak! całą niedzielę spędził w domu. Sąsiedzi widzieli go o siedemnastej. Ciec twierdzi, że Antczak! był

u niego wieczorem w sprawie przeciekają-!cej rury czy czegoś podobnego.

A Snopek sprawdził ciecica?

Co masz na myśli?

- Nie takiego. Chciałbym tylko wiedzieć, co] robił cieć tej niedzieli i co dla niego znaczyl wieczorem?

- Podejrzewasz Antczaka?

Nikogo nie wykluczam z kręgu podejrzanych. A to alibi wydaje mi się wątpliwe.

Nie! sędzę, aby dozorca w niedzielę wieczorem przyjmował interesantów. Niech Snopek to jeszcze wyjaśni.

Dobrze. Ja sam zastanawiałem się już nadl osobą Antczaka. Tylko po co miałby pozbywał się Józwińskiego i Engberga? Nie, tego nia mogę pojąć. Ale gdyby chodziło o kombinacja z pracą profesora Żmudzińskiego, to nawet bjl mi pasował. Cybernetyk, asystent profesora, był wający u niego w domu. Rysopis plus minus zgadza się.

Zgadza się, jak mówił Zientara, z rysopi-lem kilku tysięcy obywateli. Gdyby mieć głos dałoby się zidentyfikować bezbłądnie. Ala nie mam materiału porównawczego.

- Ale ja mam - zaśmiał się Korcz. - Mój szef dysponuje taśmą z ciekawą rozmową.

Muszę ci o niej opowiedzieć.

- Później. - Bieżan jest podekscytowany. - Później mi opowiesz. Teraz wyrwij od szefa tę taśmę i prześlij ekspertom do badań identyfikacyjnych! To może być bardzo ważne.

Rozmowę przerywa im telefon. Dzwoni sekretarka Ziętary: - Jest dla was meldunek z Nadarzyna. Od komendanta. U

Antczaka było włamanie. Pyta, czy przyjedziecie.

- Tak. Jedziemy. I to natychmiast.

ROZDZIAŁ VII

Komendant nadarzyńskiego posterunku wita przybyłych z nie ukrywaną radością.

- Rozumiem, że Stołeczny Urząd przejmuje sprawę tego włamania - mówi z ulgą w głosie.

Korcz potakuje. Aż nadto dobrze rozumie powody tej ulgi.

Komendantowi spada z głowy nader kłopotliwa sprawa.

Kłopotliwa ze względu na osobę poszkodowanego. Wiadomo, będzie się awanturował, na prawo i lewo szukał protekcji, będzie pisał skargi na nieudolność nadarzyńskiej milicji. A sprawcy?

Szukaj wiatru w polu. Mogą być równie dobrze z pobliskich wsi, jak i z Warszawy, na gościnnych występach. Tak, Antczak to nieprzyjemny facet. On, Korcz, wie o tym najlepiej.

Po drodze opowie-i dział Bieżanowi, jak tamten na niego naskar-J żył i jakie miał w związku z tym perypetie zel swoim szefem. Ale tamta historia miała i dobrej strony. Komendant zarejestrował rozmowę z I Antczakiem i teraz mają ten materiał porów-j nawczy, na którym Bieżanowi tak bardzo za-J leżało. A i tym razem ów kłopot jest im raczejl na rękę. Stanowi znakomity pretekst do prze-l szukania willi i otaczającego ją ogrodu. Uzasad-I nienie: poszukiwanie śladów pozostawionych! przez sprawcę czy sprawców włamania.

Typujecie, że to ktoś z miejscowych? - I pyta Bieżan komendanta.

Mamy tu takich pijaczków. Rozrabiają,! jak im nie starcza pieniędzy na alkohol. A je-1 sienią i zimą włóczy się tu kilkuosobowa bandaf złodziejasków z innego terenu. Okradają dacje, te gorzej zabezpieczone. Mieliśmy już taki przy-1 padek...

Jedźmy na miejsce - przerywa mu Bieżan. - Szkoda czasu.

Antczak zawiadomiony? - I zwraca się do komendanta.

Tak, to znaczy, nie. On wyjechał gdzieś na parę dni. Będzie jego żona z synem.

To dobrze. To bardzo dobrze. - Korcz pa-J trzy porozumiewawczo na Bieżana. -

Przynaj-d mniej będzie spokój przy oględzinach.

Teren, na którym stoi willa Antczaków, mad tak na oko co najmniej 4 tysiące metrów kwa-| dratowych. Ogrodzenie z siatki oplecionej od góry drutem kolczastym. Furtka, przy której stoi funkcjonariusz, ma wyłamany zamek.

Wyskakują z nyski. Technik zabiera się od razu do oględzin zamka, a oni całą grupą wchodzą na teren posesji.

- Przeszukajcie dokładnie ogród. - Bieżan wydaje polecenie członkom towarzyszącej im ekipy. - Do wnętrza willi wejdziemy dopiero jak przyjadą właściciele. - To do Korcza.

Ekipa starannie przeczesuje ogromny plac. Któryś z techników nachyla się.

- Coś mam - mówi głośno. - W tych liściach znalazłem sygnet z żółtego metalu z białym oczkiem. Dajcie fotografa.

Błyska flesz. Technik podchodzi do Bieżana i Korcza ze znaleziskiem w kopercie.

- Popatrzcie!

- Złoty sygnet z brylantem? Taki właśnie figuruje w spisie przedmiotów, które miał mieć przy sobie Engberg - niemal wykrzykuje Korcz. -? Może coś jeszcze znajdziecie.

Przerzućcie te liście.

Bieżan z Korczem włączają się do poszukiwań.

- Jest tu ślad opony. Zrób zaraz odlew. - To Bieżan do technika.

Kończą właśnie zdejmować odlew, gdy przed bramą zatrzymuje się taksówka z warszawską rejestracją.

- Są właściciele. Bieżan podchodzi do wysiadających z wozu: trzydziestokilkuletniej kobiety w zamszowym płaszczu i piętnasto-może szesnastoletniego wyrostka w skórzanej kurtce.

- Czekamy na państwa z oględzinami domu. Na razie sprawdzamy teren dokoła posesji. | Szukamy śladów.

Jak to się stało? Kiedy? Co za łobuzerka!

Kobieta jest roztrzęsiona, głos się jej łamie.

Jak oni tu weszli?

Wyłamali zamek od furtki - wyjaśnu spokojnie Bieżan. - A do domu dostali się przez okno na pierwszym piętrze. Weszli przez rynnie i wybili szybę.

A mówiłam ojcu, że trzeba okratować i pierwsze piętro. Nie chciał słuchać. Z nim tak zawsze! - Antczakowa zwraca się do syna. - A teraz on sobie pojechał, a ja nie wiem, co robić?

Gdyby pani zechciała otworzyć drzwi wejściowe. Musimy dokonać spisu skradzionych rzeczy. - - Bieżan mówi tonem spokojnym, kategorycznym.

- Dobrze, zaraz.

Ton i sposób bycia majora działa uspokajająco na rozdygotaną kobietę. Zaczyna gorączkowo gmerać w obszernej zamszowej torbie.

- Pewnie mama znów zapomniała kluczy odzywa się chłopak.

Nie, nie, wzięłam je ze sobą, na pewno. - Wyciąga z czeluści cały pęk.

To nie te - rzuca chłopak. - To klucze od warsztatu. Niech mama dobrze poszuka.

Może są w kosmetyczce?

Są. - Antczakowa z ulgą w głosie dobywa klucze z kosmetyczki.

- Miałaś rację. Idziemy.

Otwiera drzwi.

Z obszernej, wyłożonej jasną boazerią hallu przechodzą do dużego, ponad trzydziestometrowego

pokoju, z marmurowym kominkiem, ścianami obwieszonymi myśliwskimi trofeami i zabytkową bronią. Pod ścianami zydle, ławy, | długi, prostokątny dębowy stół.

- Może państwo rozejrzą się dokładnie, czy nic nie zginęło - zwraca się Bieżan do Antczakowej i chłopaka.

- Zdaje mi się, że wszystko jest jak było. -

| Kobieta jeszcze nie ochłonęła ze zdenerwowania.?

- Nie, mamu - poprawia ją syn. - Na ścia-I nie z bronią są dwa puste miejsca. Brak dwóch pistoletów z kolekcji ojca. Mausera, siódemki, z wykładaną srebrną blachą rękojeścią, pochodzącego z początku naszego wieku, i drugiego, z jeszcze wcześniejszego okresu. Ojciec mówił, że to zabytkowa broń z wojny między Stanami Zjednoczonymi a Południem.

- Broń mu ukradli! A mówiłam, żeby na Jzimę zabrać to wszystko do domu! Nie chciał.

Twierdził, że my tu będziemy przyjeżdżali i zimą! Ma za swoje!

Taka strata! - wykrzykuje kobieta.

- Opisz nam, synu, dokładnie tę broń. Musimy sporządzić protokół. - Bieżan przysiada na ławie i wyciąga blankiet protokołu oględzin.

Obaj z Korczem mają kamienne twarze. Tylko oczy im błyszczą z podniecenia.

Chłopak opisuje broń ze szczegółami. Rękojeść Mausera była w jednym miejscu uszkodzona, odprysnęła inkrustacja.

Czy ten drugi pistolet miał także jakieś cechy charakterystyczne?

- pyta Korcz spokojnym, pozbawionym intonacji głosem.

Tak. Oglądałem go dokładnie. Znam wszy-I Stkie sztuki z kolekcji ojca.

Dyktuj. Każdy szczegół ma znaczenie. Łat-I wiej będzie odszukać tę broń i ją zidentyfiko-I wać. Bardzo nam pomożesz.

Chłopak jest przejęty własną rolą. Opisujel wszystkie szczegóły.

Bieżan notuje dokładnie.!1 Podsuwa mu blankiet do podpisania.

Sprawdź, czy wszystko jest zapisane tak, jak mówiłeś?

W porządku. - Chłopiec podpisuje imieniem i nazwiskiem.

Czy pani też podpisze?

Oczywiście.

- Przejdziemy teraz na górę - proponuje } Biezan. - Ty zostań jeszcze na dole - zwracaj się do Korcza.
- Trzeba zabezpieczyć ślady.
- Szukajcie śladów krwi - rzuca Korcz cicho technikom, gdy tylko tamci znikają na piętrze.

ROZDZIAŁ VIII

Tym razem Magdalenka wita ich słońcem, wyłaczającym drogę i rosnący po obu stronach szosy gęsty las, nadającym ciepły koloryt nawet opadłym liściom.

Jeśli kiedyś się wzbogacę - mówi rozmarzonym głosem Biezan - kupię sobie tutaj działkę rekreacyjną, zbuduję na niej domek z kominkiem, będę przyjeżdżał na wszystkie weekendy, nawet zimą.

Razem z Małgosią? - rzuca drwiąco Korcz. - Razem będziecie siedzieć pod krzaczkiem, razem zbierać poziomki w lesie, sadzić kwiatki i marchewkę w ogródku, żeby mieć jarzynki na kryzysowe czasy.

Nie kpij. Ładnie jest tutaj. Pewnie dlatego jak grzyby po deszczu wyrosły te pałacowe siedziby elity finansowej, i nie tylko. Ale nie martw się o mój kręgosłup ideolo, ja do nich nie dołączę. Po pierwsze nie będę bogaty, więc nie ma armat...

Korcz wybucha śmiechem.

- Nie chciałbym tu mieszkać. Obrzydła mi ta dziura. Cały czas kojarzyłaby mi się z tą sprawą. Ciekawe, co znowu wyszykował nan(komendant?

Właśnie telefon od komendanta ściągnął ic' tutaj. - Mam sprawcę włamania - mówił

gloA sem napęczniałym od dumy. - Przeczesałem parę melin i złowiłem rybkę...

Przyjeżdżajcie! I Hamują przed posterunkiem. Komendant już czeka. Z honorami wprowadza ich do swegd pokoiku, w którym króluje duże, ciemne, rozsył pujące się już ze starości biurko. Obok dwa krzesła i sejf.

- Siadajcie, rozgoście się - zaprasza. - i Zaraz go każę sprowadzić z aresztu.

Słowo „areszt” brzmi dumnie, ale Bogieml a prawdą nie ma na posterunku żadnych po-J mieszceń nadających się dla zatrzymanych. Ów| areszt to niewielka, zamykana na kłódkę drew-J niana komórka, ongiś zapewne używana jaka budyneczek gospodarczy.

- Franek, daj go tu - krzyczy wystawiw-j szy głowę z pokoju.

Po chwili zatrzymany, brudny, nie ogolon blondyn, ze zmiętą jak ubranie twarzą, wchodzi i staje pod ścianą. Stoi i gospodarz, zanim fun kcjonariusz nie wniesie trzeciego krzesła. Czwarł tego już nie ma.

Komendant otwiera sejf, wyciąga z niego ko-l pertę, a z niej złote pióro.

- Dowód rzeczowy - zwraca się do Bieża-j na. - Mów, skąd to wzięłeś? - To do zatrzymanego. - Jak to było z tym włamaniem?

- Eee, jakie tam włamanie, panie komendancie. Wlazłem tylko na ogrodzony teren.

Przez otwartą furtkę. I tam koło drzwi to znalazłem. Więc wziąłem. Na butelkę. I tyle.

Korcza patrzy na złotego Parkera.

Takie pióro było w spisie rzeczy, które miał mieć przy sobie Engberg - mówi szeptem do Bieżana. - Kiedy to znalazłeś? - zwraca się do zatrzymanego.

Żony kumpla, znaczy Teresy Pryszczyko-wej, były wtedy imieniny. Trzeba było to oblać, więc wpadliśmy do barku wypić za jej zdrowie. Wieczorem wyrzucili nas z barku, że to niby rozrabiamy po pijaku. Koleś, znaczy się Pryszczyk, miał jeszcze butelczynę w kieszeni, więc poszliśmy ją opróżnić do lasku, koło tamtej posesji. Myśleliśmy, będzie spokój, bo dacze już puste. Ale gdzie tam! W jednej się świeciło. Okno chyba byłter uchylone, bo słyszeliśmy podniesione głosy. Jakby się kłócili. Kłócą się czy nie, nie nasza sprawa.

Rozsiedliśmy się w krzakach, tam są takie zarośla blisko tego ogrodzenia, pociągnęliśmy raz i drugi z butelki. Ale nie pisany nam był spokój. Nagle coś huknęło. Jakby ktos strzelił.

Chcieliśmy wiać stamtąd, ale raptem błysnęły reflektory jakiegoś wozu. Ktos tu jechał.

Zaszyliśmy się głębiej w krzaki, żeby nas nie przyuważył. Wóz zatrzymał się przed bramą wjazdową. Facet wysiadł, otworzył bramę i wjechał.

Zostawił wóz i wszedł do domu.

- Jaki to był wóz?

Nie znam się na samochodach Duży i zielony.

Mów dalej - Korcz z trudem opanowuje podniecenie. - Co było potem?

Potem nic nie słyszeliśmy. Mówię do kolesia: zwiewajmy. A on chrapie. Zmogło go.

Nie mogłem go samego zostawić. Zimno było, więc raz i drugi pociągnąłem z butelki. Trochę czasu upłynęło, zanim drzwi otworzyły się i facet wyszedł z domu.

Wyszedł, rozejrzał się i wrócił. Po chwili znów wyszedł. Patrząc, a on kogoś taszczy do tego zielonego wozu. Wciągnął go na tylne siedzenie, zamknął drzwiczki i znów poszedł do domu. Za jakiś czas wytaszczył drugiego. Otworzył bagażnik wozu i tam go wepchnął.

Wszedł do domu, zgasił światło, zamknął drzwi wejściowe i wyjechał tym zielonym wozem.

- Skąd to pióro? - pyta Biezan.

- Jak wynosił pierwszego, to coś błysnęło i upadło. Poszedłem zobaczyć, co to takiego. I znalazłem to pióro. Znalazłem, a nie ukradłem. Koleś trochę wytrzeźwiał, tom go zabrał stamtąd i dowlokłem do Kopytkowej. Znaczą do tej meliny. Pić nam się jeszcze chciało, a forsę nie było. Opyliłem pióro Kopytkowej. I tyle.

- Dlaczego od razu nie zameldowaliście o tym, co widziałeś?

Za niezameldowanie o zbrodni też się odpowiada. - Korcz podnosi głowę znad protokołu przesłuchania świadka.

Panie kapitanie, pan się dziwi? Dreszcze po mnie chodziły. Bałem się. Facet z tamtej willi już raz na mnie naskarżył. Mógł mnie tak jak tamtych załatwić - milknie. - A zresztą jak bym opowiedział, to kto by takiemu jak ja uwierzył. Jego słowo na moje słowo.

Rozpoznałby pan tego człowieka? - To znów Biezan.

Ciemno było. Twarzy nie widziałem. Tylko postać...

Z nakazem zatrzymania i przeszukania nie będzie kłopotów. W zasadzie wszystko jest już jasne. Niemal jasne. Bo jeszcze sprawa profesorowej wymaga wyjaśnienia, no i częściowo motywy. - Biezan mówi trochę do siebie, trochę do Korcza.

Korcz potakuje.

Teraz dopiero rozumiem, że zabił Engberga, bo tamten najprawdopodobniej nakrył go z trupem Józwińskiego. Ale dlaczego zabił Józwińskiego?

Jutro z rana zaczniemy przeszukania. Wszystko się wyjaśni.

- Nie boisz się, że facet do jutra może zwać?

- Nie. Nie podejrzewa, że mamy przeciwko niemu cały komplet dowodów. Łącznie ze śladami krwi. Przydało się nam do włamanie. Myślę, że do jutra nie będzie żadnych niespodzianek.

Myli się tym razem. Basia wita ich nowiną:

- Dzwonili z Konstancina. Spaliła się willa Zimińskiego. On sam jest w szpitalu.

Po półgodzinie rozmawiają już z ordynatorem oddziału.

- Zatrucie czadem i środkami nasennymi - mówi ordynator.

- Byłby się spalił razem z willą, gdyby sąsiedzi nie zauważyli pożaru. Odratowaliśmy go. Wygląda to na próbę samobójstwa albo nieszczęśliwy wypadek. Był sam w domu. Zażył

ogromną dawkę środków nasennych. -

- Można go przesłuchać?

- Nie mogę zezwolić na dłuższą niż paro-minutową rozmowę.

Zimiński jest przytomny. Na pytanie, jak to się stało”, przez chwilę patrzy na nich w milczeniu: - Sam nie wiem - mówi wolno. - Zasnąłem.

Był pan sam w willi?

Nie, z Antczakiem.

ROZDZIAŁ IX

Tym razem Biezan kieruje przeszukaniem willi w Magdalence.

Korczowi przypadło w udziale mieszkanie Antczaków na Marymonckiej. Sam tak zresztą wybrał. Miał dosyć Magdalenki.

- Z Antczakiem będziemy mieli mnóstwo okazji do rozmów.

Mogę sobie darować wstępne przesłuchanie. Ty i tak zrobisz to lepiej - oświadczył, gdy na odprawie u Ziętarey ustalali plan czynności na najbliższy okres.

Z nakazami zatrzymania i przeszukań rzeczywiście nie było kłopotów. Materiał

dowodo-vy był aż nadto przekonywający.

Ekspertyzy: broni, daktyloskopijne, ujawniające odciski palców Józwińskiego i Engberga w willi Antczaków, i serologiczna (zabezpieczone podczas oględzin willi ślady krwi okazały się śladami krwi grupy Józwińskiego). I jeszcze ekspertyza fono-skopijna. Głos nagrany na taśmie w przedstawicielstwie firmy „Logos” został zidentyfikowany jako głos Antczaka. Mieli też protokoły przesłuchań Antczakowej z synem, zatrzymanego przez komendanta pijaczka, wyjaśnienia młodocianych narkomanów.

Nie licząc zeznania ciecica, który zapewnił alibi Antczakowi, w rzeczywistości zaś w niedzielę od południa do północy bawił na imieninach u krewniaczki. I wreszcie zeznania Zimińskiego. Byli u niego wczoraj jeszcze raz. W szpitalu. Obaj. Sam ich wezwał wieczorem.

Po ich wizycie i rozmowie z ordynatorem o środkach nasennych zaczął rozmyślać nad całą sprawą.

- Antczak zadzwonił do mnie parę dni temu - powiedział, kiedy już przyjechali na to, nagłące wezwanie.

- Prosił, żebym się z nim spotkał. Mówił, że chce pogadać ze mną o sprawach związanych z firmą. Zgodziłem się. Zaprosiłem go do siebie do Konstancina. Przyszedł

zgodnie z umową, o szesnastej. Wiedziałem, że był cichym współnikiem firmy. Było nas trzech: Engberg, ja i on. Engberg interes firmował. Za nieujawnienie jego udziału w spółce Antczak! zobowiązał się pokryć moje przyszłe należności podatkowe, do kwoty trzydziestu milionów złotych. W ten sposób, tłumaczył, jakoś się wygrzebiesz z tego interesu. Zapłacisz domiar od ujawnionych przez Izbę Skarbową twoich i moich wkładów, a mój udział zostanie tajemnicą. Spróbuję go wyrwać od spadkobierców. Engbergowa na to pójdzie, już z nią rozmawiałem, gdy przyjechała po ciało męża. Tym udziałem podzielę się z tobą. Nie bardzo chciałem się zgodzić na taki układ. Tak czy owak traciłem na tym. Liczyłem, że trzydzieści milionów, które mi proponował, nie pokryją nawet części zobowiązań finansowych, a ów podział Antczako-wych wkładów był palcem na wodzie pisany. Jaką miałbym w stosunku do niego egzekutywę? Więc targowaliśmy się. On nie chciał podpisać żadnego zobowiązania, a ja, biorąc całe ryzyko na siebie, nie wierzyłem mu na słowo. Piliśmy whisky z wodą.

Poprosił jeszcze o herbatę. Poszedłem do kuchni. Chwilę to trwało.

Pamiętam, że mój kieliszek z whisky był pełen. Gdy wróciłem z herbatą, zaproponował, żebyśmy wypili. Wypiłem i wkrótce poczułem senność. Film mi się urwał.

Lekarz powiedział, że podejrzewał samobójstwo, bo stwierdzili u mnie zatrucie nie tylko czadem, ale i silnie działającymi środkami nasennymi. Wówczas zrozumiałem. Antczak chciał się mnie pozbyć. To on podpalił dom. Drewniana willa spłonęłaby razem ze mną.

Drań.

Dwa zabójstwa, jedno usiłowanie związane ze zbrodniczym podpaleniem, spowodowanie śmierci profesorowej, kradzież dzieła naukowego i próba wywiezienia go za granicę, a może nie tylko próba - stwierdza Bieżan, podsumowując ujawnione przestępstwa Antczaka. - Niezły pasztet jak na jednego człowieka. I wszystko z niskich pobudek. Z chęci zysku.

Żył przecież w luksusie. Po co mu to było? - Korcz mówi trochę do siebie, trochę do Bieżana i Ziętary.

Pieniądze, wielkie pieniądze, nie tylko łączą, ale i dzielą - rzuca Ziętara w odpowiedzi.

- Ludzie stają się zachłanni, nie mają skrupułów. A może ów brak skrupułów rodzi się przede wszystkim w stosunku do współników?! Zresztą o motywach pogadacie podczas przesłuchania.

Właśnie czekało go to wstępne przesłuchanie. Przesłuchanie i przeszukanie, z rozpoczęciem którego czekał, aż Korcz dowiedzie mu Antczaka.

Czekali już godzinę. Właśnie Bieżan miał dzwonić do Andrzeja, aby dowiedzieć się, czy coś się nie stało, kiedy przed bramą, posesji zatrzymała się milicyjna nyska.

Wyprowadzony z niej Antczak był purpurowy z wściekłości.

Ja wam wszystkim pokażę. To bezprawie! - niemal krzyczy.

Spokojnie. Niech się pan nie denerwuje - oświadcza Korcz, wysiadający za Antczakiem z samochodu. - Najpierw odpowie nam pan na parę pytań, a potem okaże się, czy to jest bezprawie.

Trzymaj - zwraca się do Bieżana, przekazując mu duży pakiet.

- Zakwestionowaliśmy to w mieszkaniu pana Antczaka.

Bieżan zaprasza Antczaka do wejścia. Siadają na dole. Major nie spiesząc się otwiera pakiet wręczony mu przez Korcza. Przegląda papiery. Jest wśród nich umowa Antczaka z Engbergiem, świadcząca, że „Activ” faktycznie był spółką trzech osób. Jest osiem książeczek oszczędnościowych, każda z wkładem miliona złotych, wyciąg z konta dewizowego Antczaka, datowany sprzed tygodnia, z którego wynika, że na koncie tym znajduje się ponad pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Czy to panu zostało po opłaceniu podatków? - Bieżan pyta i widzi strach oraz wściekłość na twarzy Antczaka.

Jest to jednak wyga, nie tracący pewności siebie.

Istotnie byłem współnikiem Engberga - mówi w miarę spokojnie. - Czy to coś złego?

Podatki potrącano Engbergowi od całości zysków, a więc także i od tego, co otrzymywałem.

Ja i Zimiński. Pan by wolał - zwraca się do Bieżana - żeby cały zysk dostał Engberg? I żeby wywiózł go z kraju? Jeśli część tego zysku zostaje w rękach współników, polskich obywateli, uważa pan to za zbrodnię?

Jeśli już mówi pan o pieniądzach, to chyba pan wie, tak samo dobrze jak ja, że u podstaw koncepcji tworzenia firm zagranicznych tkwiło założenie zasilania rynku w trudnym, kryzysowym okresie kapitałem zagranicznym i surowcami.

Tymczasem niemała część tych firm została stworzona przez podobnych do was cwaniaków, którzy, wykorzystując chody i kontakty, znaleźli sposób na drenowanie naszego rynku i z pieniędzy, i z surowca, i z siły roboczej. Zbijają nielegalnie majątki i w istocie taka działalność nie zmniejsza, a pogłębia trudności gospodarcze. Ale to na marginesie. Bardziej interesuje mnie odpowiedź na pytanie, dlaczego zabił pan Engberga, fasadę spółki? _

- Jak pan śmie stawiać mi taki zarzut?

- Rozmowa ma charakter oficjalny, więc proszę, niech pan nie krzyczy. I jeśli pytam, dlaczego pan go zabił, a nie: „czy pan go zabił”, to znaczy, że wiem, że pan to zrobił. Wiem także, że zamordował pan Józwińskiego i podpalił pan dom Zimińskiego, uspiwszy uprzednio właściciela. Wiem też, że kradł pan opracowania profesora Żmudzińskiego, i mogę powiązać te fakty z nazwiskiem Mayera, Engberga, a także z przedstawicielstwem firmy „Logos’-’.

Antczak blednie. Przez chwile, robi wrażenie, jakby wyciekało z niego powietrze. Ale nie rezygnuje z protestów.

Są to pańskie idiotyczne wymysły. Jakie ma pan na to wszystko dowody?

Żąda pan dowodów? - Bieżan zaczyna wyliczankę.. - W

Puszczy Kampinoskiej w pobliżu miejsca zakopania zwłok Engberga, wyrzucił pan Mausera zdjętego z tego oto - pokazuje palcem na ścianę - gwoździa. Z niego to zastrzelił pan Józwińskiego. Do bagażnika samochodu Engberga wrzucił pan inny pistolet, nie używany w tej sprawie, ale zdjęty z tego oto gwoździa - znów ruch ręki w kierunku ściany. - Wcześniej jeszcze, bywając u państwa Żmudzińskich, skorzystał pan z okazji, żeby zrobić sobie duplikat kluczy do ich mieszkania.

Ukradł pan kilka opracowań profesora i zaczął nimi handlować, podszywając się pod współautorstwo. Próbował pan wysłać je za granicę przez Mayera, Engberga i przez przedstawicielstwo firmy „Logos”. Winien jestem panu wyjaśnienie, że właśnie w firmie

„Logos” nagrano rozmowę z panem, a głos, jak stwierdziła ekspertyza, został

zidentyfikowany jako pański.

Antczak szarzeje.

Co pan mi insynuuje? Kiedy to i gdzie zamordowałem Engberga i Józwińskiego?

Dobrze, odpowiem i na to pytanie. Było to w niedzielę, trzeciego października, tu, w tej willi. Najpierw zastrzelił pan Józwińskiego, a następnie zabił Engberga. Mamy zeznania, z których wynika, że jedną z ofiar posadził pan na tylnym siedzeniu zielonego volvo, a drugą wrzucił do bagażnika. Tu, na podwórzu tej willi, znaleziono sygnet Engberga, a pewien złodziejaszek, obserwujący załadunek trupów, zauważył, że jednej z pańskich ofiar coś wypadło. Po pana odjeździe zaczął szukać i znalazł w trawie złotego Parkera.

Po drodze do Puszczy Kampinoskiej był pan legitymowany przez drogówkę, okazał

pan paszport Engberga i zapłacił mandat. Ale po co pan straszył profesorową? Chyba po to, żeby wywołać wrażenie, że jest ona osobą chorą psychicznie. Chorej kobiecie nikt by nie uwierzył, że ktoś buszuje w papierach jej męża?

Jednak pan przesadził. Tak ją pan postraszył, że umarła na zawał.

Ona już nie żyła - odruchowo mówi Antczak.

Bieżan milknie, długo patrzy przesłuchiwanemu w oczy i pyta: - Kiedy już nie żyła?

Kiedy przyszedłem do niej. Drzwi były uchylone, wszedłem do mieszkania i zobaczyłem, że leży. W pierwszej chwili chciałem jej pomóc, ratować, ale kiedy przekonałem się, że już nie żyje, uciekłem zostawiając wszystko tak, jak zastałem.

A czemu pan uspił Zimińskiego i dla zatarcia śladów podpalił jego dom?

To już oczywiste brednie - protestuje Antczak. - Nie powie mi pan, że i na to ma pan dowody!

Mam - mówi Bieżan spokojnie. - Bo Zimiński żyje. Pożar ugaszono w porę, a on,|

zorientowawszy się w czym rzecz, powiedział nam, o czym rozmawialiście przed jego nagłym zaśnieciem. Chciał pan wymóc na nim milczenie. W zamian za nieujawnienie pana jako współnika firmy proponował mu pan pokrycie części strat. Jednak nie mogliście się dogadać i i wtedy wyspał mu pan do whisky środek | nasenny. On zasnął, a pan zapalił

kuchenką gazową i położył obok papiery, które musiały się od tego ognia zająć. Rzecz miała wyglądać na nieszczęśliwy wypadek. Ale niech mi pan powie, dlaczego pan zabił

Józwińskiego?

Antczak jest już załamany.

- Dobrze, powiem. Było to po rozgrywce o stołek dyrektora i pełnomocnika.

Józwiński, wyrzucony z firmy przez Engberga, przyszedł do mnie prosić o wstawiennictwo.

Chciał wrócić do pracy. Najpierw prosił, później obiecywał pieniądze, a kiedy konsekwentnie odmawiałem, zaczął mi grozić. Wynikła sprzeczka. Posypały się obelgi. Nie wiem, co się ze mną stało, chwyciłem Mausera, strzeliłem.

W tył głowy - stwierdza beznamiętnie Bieżan.

Być może. Nie pamiętam. I wtedy zjawił się Engberg. Stałem przerażony nad zwłokami Józwińskiego, a on rzucił się na mnie.

Wówczas chwyciłem ten drugi pistolet i uderzyłem go rękojęcią w głowę. Resztę pan już wie.

Niezupełnie. Obaj mieli przy sobie grubszą gotówkę. Gdzie są te pieniądze?

Tam, w narożniku. Trzeba tylko wyciągnąć listwę.

Bieżan podchodzi do narożnika, pociąga za ozdobną listwę podłogową. Ukazuje się skrytka, a w niej paczki banknotów. Na oko kilkadziesiąt milionów w złotych oraz kilkanaście tysięcy w dolarach i koronach. Obok kilkadziesiąt złotych dwudziestodolarówek.

Jest tu także paszport Engberga, kserokopie kilku prac profesora Żmudzińskiego, wśród nich

„Poliglotty”, pęk kluczy i kartonik jakiegoś medykamentu. Brak jednej kapsułki.

- Czy to właśnie tę kapsułkę wrzucił pan do whisky Zimińskiemu?

Antczak kiwa potakująco głową.

A klucze to pewnie i te do mieszkania^ profesorowej Żmudzińskiej?

Jest pan szatańsko przebiegły - mówi Antczak z lekką ironią w głosie. - Ale przecież!

możemy się dogadać - zmienia ton. - Terł szmal weźcie sobie panowie i załatwmy sprawę!

Zabrać go - rozkazuje major.

Salto mortale - mówi cicho Korcz.

Saldo mortale - poprawia go Biezan.

Table of Contents

